Nr. 15. Poznań, Niedziela 8go Lipca 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3.75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II t. 86. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ:

Czas odnowić przedpłatę.

Donosimy, że nowy zastęp wybitnych publicystów zapisał się do grona współpracowników naszych. Utwory ich zamieścimy niebawem.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Kobiecy ruch zawodowy w Anglii.

I.

Stanowisko pracy kobiecej bynajmniej nie jest zależnem od prawnych urządzeń i normowań; tylko zasadnicza forma gospodarki nadaje pracy kobiecej jej cechy społeczne. Nie mamy na myśli zaprzeczać, że urządzenia prawne, wyrażając stosunki własnościowe, wpływają na ekonomiczne stanowisko kobiet. Idzie nam tylko o to, by zaznaczyć drugorzędną rolę prawa, które zmienia się stosownie do potrzeb panujących form gospodarczych.

Przed rozwojem dzisiejszej gospodarki fabrycznej praca miała formy bardziej indywidualne. Warsztat rzemieślnika, skład kupca stanowiły niebardzo złożoną jednostkę ekonomiczną, obejmującą jednę tylko po największej części, rodzinę, około której — jak satellici — krążyła garstka czeladzi. W tej jednostce ekonomicznej kobieta musiała zająć poważne i cenione stanowisko. Pomimo dzikości i barbarzyństwa, jakie tuzinkowy liberalizm stara się odkrywać w średnich wiekach, kobieta ówczesna jako element gospodarczy była bardziej niezależną, bardziej wynagrodzoną niż dzisiaj. Dosyć wziąć kroniki i traktaty ekonomiczne, by w nich odkryć szacunek i ocenę, jakiemi otaczano pracę i skrzętność matrony, gospodarnej małżonki, skarbnika ówczesnej jednostki ekonomicznej — rodziny.

Fabryka rozbiła i zdusiła tę jednostkę ekonomiczną oraz podkopała dawne znaczenie gospodyni. Blask i znaczenie wszechświatowego rynku nie pozwalają skromnej pracy domowej widnieć swymi, choćby najbardziej żarliwymi zabiegami. Wzrastająca w dalszym ciągu produkcya maszynowa zniżyła i zniszczyła dawną umiejętność i zręczność wytwórcy. Pracownik samodzielny zmienił się w posługacza maszyny, w narzędzie, w niewielkie kółko, niezbędne tylko jako tryb pomocniczy. Mężczyzna zaczął zatem dzielić ten sam stopień poniżenia, jaki stał się udziałem kobiety.

Na tem jednak nie zatrzymały się dążności niwelacyjne maszyny. Z chwilą, w której praca ludzka — jako prosty, niewykształcony wysiłek mięśni — została czynnikiem pomocniczym olbrzymiej maszyneryi, kierownicy wytwarzania narodowego rozpoczęli poszukiwania nad taniością tego czynnika posługacza. W ten sposób kobieta i dziecko zostają wciągnięte do fabryki jako najtańsi posługacze rozpanoszonej siły parowej, elektrycznej i t. d.

Klasyczny kraj rozwoju gospodarki fabrycznej daje właśnie przyklady tych rozmiarów, w jakich kobieta została wyrwaną z domowego ogniska, by na równi z mężczyzną zostać dodatkowym czynnikiem wielkiej produkcyi maszynowej. Rozmiary te chcemy uwidocznić w niżej podanej tabliczce, w której czytelnik znajdzie nie tylko względny, liczebny wzrost pracy kobiecej po fabrykach, ale i bezwzględny wzrost w stosunku pracy mężkiej.

Fabryki w Anglii zatrudniały:

	Mężczyzn.	Kobiet.
w roku 1841	1,030,600	463,600
w roku 1851	1,324,200	997,990
w roku 1871	1,385,500	1,203,200
w roku 1881	1,401,900	1,299,500
w roku 1891	1,576,100	1,447,500

Oczywista, pomijamy tu wszystkie te gałęzie pracy, w których praca kobieca jest bądź wzbronioną, bądź też nigdy nie była w zwyczaju (jak drogi żelazne, handel morski i t. d.) Podane wyżej liczby wykazują nam, że w zawodach, gdzie praca kobieca znalazła powszechne zapotrzebowanie, powiększyła się ona o 221 proc., podczas, gdy praca męska wzrosła zaledwie o 53 proc. Pojedyncze zaś gałęzie pracy wykazują nawet przewagę pracowników kobiet nad pracownikami mężkimi. Krawiectwo i wogóle produkcya odzieży zatrudniały w 1841 roku 343,600 mężczyzn i 177,200 kobiet, podczas gdy w 1891 roku liczba mężczyzn zatrudnionych nie wynosi więcej jak 352,800 obok 681,300 kobiet. Niemniej charakterystycznym jest wzrost pracy kobiecej w tkactwie; w 1891 roku pracowało w tym zawodzie 585,600 kobiet obok zaledwie 430,500 pracowników mężkich.

Orędowniczki zatem swobody pracy dla kobiet atakują dawno już przez przemysł współczesny zdobytą twierdzę pracy kobiecej. Daleko więcej od ich mów i sentymentalnych frazesów o równości płci wpływa tu interes przedsiębiorcy, który szuka w słabszej kobiecie tańszego narzędzia pomocniczego dla swych maszyn, potrzebujących obsługi.

Płaca robocza tej olbrzymiej armii pracownic jest wszędzie niższą od płacy, pobieranej przez mężczyzn. Panna Abraham, rządowa inspektorka fabryczna, przedstawia wszakże liczne tablice porównawcze płacy dla pracowników obu płci, z których wynika pewna równość wynagrodzenia. Ale tablice te zaznaczają płacę li tylko w tych zawodach, gdzie praca kobieca przeważa pracę mężką i gdzie pierwsza już stanowczo obniżyła płacę robotników mężkich, jaka istniała przed najściem pracy kobiecej. Jest to równość w przegranej.

Na niskość płacy, pobieranej przez pracownice — kobiety wpływają najrozmaitsze przyczyny. Jedne z nich odnoszą się do gatunku i jakości pracy wykonywanej; kobieta jako słabsza i bardziej niestała robotnica otrzymuje zajęcia łatwiejsze i bardziej dostępne dla niewprawnych jeszcze rąk. Inne przyczyny, bardziej społecznego znaczenia, są w związku z rozbiciem życia rodzinnego, z wzrastającą luźnością w obyczajach, które każą kobiecie mieć inne źródła dochodu, podczas, gdy jednocześnie dyktują mężkiemu pracownikowi większe wydatki. Wreszcie — i co najważniejsze — wpływa tu zasadniczy charakter pracy kobiecej, jako pracy pomocniczej zarówno w fabryce z punktu widzenia produkcyi jak i w rodzinie, gdzie dziewczyna przynosi tylko „pomoc“, żona zaś chwilowy zasiłek podczas złych czasów itd. A nawet w warunkach, gdy kobieta zmuszona jest wobec stale panującej biedy w domu, szukać stałego zajęcia fabrycznego, ma ona nadto na swoich barkach liczne zajęcia domowe, które w pracy jej wywołują niezliczone przerwy, wpływające zarówno na względne jak i bezwzględne zmniejszenie jej zarobku.

Pozostawiając na uboczu wszelkie inne społeczne skutki tego nadmiernego wzrostu „swobody“ pracy kobiecej, musimy jednak podkreślić niezmiernie doniosły i nieszczęsny wpływ tego zjawiska na stopniowe obniżanie przeciętnej płacy robotniczej nawet mężkiej. Z chwilą, w której rynek pracy zapełniony jest prawie dwoma milionami*) pomocniczych rąk, — z chwilą, w której rezerwowa armia pracy kobiecej może, z powodu coraz to bardziej dosko-

*) Powyżej podana cyfra 1,447,500 nie obejmuje wszystkich kobiet pracujących, których statystyka podaje na 1,900,000.

nałej maszyneryi, zastąpić pracę dorosłego mężczyzny — główne źródło dochodu rodziny robotniczej wysycha, płaca się obniża, ilość pozbawionych zarobkowania ojców rodzin wzrasta, a wyzysk przybiera olbrzymie rozmiary. Nic dziw więc, że abstrakcyjne formułki wyzwolenia kobiecego natrafiają wśród ludności robotniczej na zasadniczy opór. Agitacyi kobiecej na rzecz zupełnej swobody pracy stowarzyszenia robotnicze odpowiadają żądaniem prawnego (za pomocą prawodawstwa) ograniczenia pracy kobiet, bądź to strejkami, za pomocą których usiłują zamknąć kobietom, jako przedstawicielom niezorganizowanej pracy, przystęp do bardziej korzystnych zawodów.

Ruch ten odporny jest wszakże bez żadnych widoków powodzenia. Prawodawstwo dzisiejsze może ścieśnić wyzysk pracy kobiecej tylko tam, gdzie występuje silny interes społeczny, nakazujący pewną przezorność w imię przyszłych pokoleń. Kobieta, jako rodzicielka społeczna musi mieć opiekę prawną. Po za granicami tych ogólno społecznych względów prawodawstwo nie może nic zrobić, albowiem nie może iść przeciw prądowi maszyneryi.

Pozostaje więc odebrać pracy kobiecej jej charakter przypadkowej, niezorganizowanej pracy, zjawiającej się na rynku jako czynnik bezwzględnego obniżania zarobków. Środek leczniczy jest tylko jeden — zawodowa organizacya kobieca.

Temu zadaniu poświęciła się w Anglii na początku siódmego lat dziesiątka panna Emma Smith, zecerka z zawodu, (dziś pani Patterson). Kilkoletnia jej działalność doprowadziła do tego, że w 1874 roku robotnice angielskie poczęły przystępować do istniejących już związków zawodowych pracy męzkiej lub też tworzyć samodzielne związki kobiece. Nadto przyszła do skutku tak zwana „Liga kobiecych związków zawodowych“. Zadaniem ligi jest rozszerzenie ruchu zawodowego kobiet, agitacya w tym kierunku, oraz ułatwienie nowopowstającym związkom stosunków z istniejącym w Anglii, olbrzymim ruchem robotniczym. W 1875 roku pani Smith-Patterson i pani Symcox wystąpiły jako delegatki na kongresie angielskich tradeunionów. Dziś Liga stanowi związek dzielnych szermierek sprawy rozszerzania się zawodowego robotnic angielskich. Na czele ligi stoi komitet doradczy, w skład którego wchodzą przedstawiciele i przedstawicielki różnych organizacyi robotniczych. Główna zaś działalność ligi spoczywa w rękach komitetu wykonawczego, kierującego propagandą i agitacyą w całym kraju. W skład tego komitetu oprócz kobiet, młodych i dzielnych rzeczników pracy kobiecej, jak lady Diche, panna Foley, (wychowanica uniwersytetu londyńskiego) Holysahe, Tuckwell, (redaktorka kwartalnika, wydawanego przez ligę), lady Jenne (żona jednego z wyższych sędziów angielskich) i t. d. wchodzą jeszcze posłowie parlamentu Lawson i Mr. Arthur, jeden z wybitniejszych kaznodziei państwowego kościoła Steward Headlam, oraz Stopford Brooke, nietylko wybitny mówca kościelny, ale nadto najlepszy historyk literatury angielskiej.

Praca ligi dała świetne rezultaty. Około 50 związków zawodowych, z których 10 w Londynie, grupują dziś liczne legiony robotnic angielskich, nie mówiąc już o tem, że wszędzie kobiety zaczynają przystępować do dawniej założonych „męzkich“ związków. Na kongresie związków zawodowych w 1891 roku byli przedstawiciele lub przedstawicielki przynajmniej pięćdziesięciu tysięcy kobiet, ale nie wszystkie związki wysyłają delegatów. Dziś liczba zorganizowanych robotnic przekroczyła cyfrę 100,000.

Władysław Nadolski.



Przegląd prasy słowiańskiej.

Cała prasa narodowo-czeska, staro i młodoczeska potępia organizacyę nowego stronnictwa czeskiego t. z. partyi klerykalnej. O „wiecu katolickim“, który się miał odbyć w Bernie na Morawie tak pisze staro-czeska „Politik“:

„Ze względu na stosunki stronnictw czeskich na Morawie, dalej ze względu na to, że stronnictwo klerykalne, które wiec urządza, utrzymuje stosunki przyjaźni z dzisiejszą koalicyą, uważamy wiec katolicki, mający się temi dniami odbyć w Bernie za rzecz całkiem niepożądaną; wiec katolicki zmierza przeciw naszemu kierunkowi politycznemu, przeciw narodowemu i kulturnemu programowi narodu czeskiego; sądzimy dalej, że obrona religii, która nigdzie w swoich prawach nie jest na Morawie zagrożoną, to tylko pretekst dla celów ukrytych.

Wiec katolicki w Czechach może się przyczynić tylko do osłabienia znaczenia Czechów, którzy wojują przeciw przemożnym wpływom niemiecko-łacińskim.

„Branie udziału w tym wiecu jest rzeczą zbyteczną; więc polecać mogą ci tylko, którym „brak zmysłu politycznego, brak patryotyzmu.“

* * *

Słowackie „Narodnie Nowiny“ piszą:

„W Presburgu na Węgrzech, odbędzie się dnia 1go i 2go bm. wiec katolików węgierskich. W prezydyum Komitetu wiecowego znajdują się hr. Zichy i hr. Esterhazy. Odczyty będą nietylko w języku madziarskim, ale zarówno w językach słowackim i niemieckim. Jest to okoliczność wielce zajmująca. Stronnictwo konserwatywne magnatów madziarskich potrafi tylko przy pomocy narodowości niemadziarskich urządzać zjazdy, gdyż inaczej udział byłby zbyt mały. Mimo to dotychczas stronnictwo to ani słowem nie poruszyło na swych politycznych zebraniach stosunku rządu do Słowaków, Serbów i Rumunów, ani też żadnemu z magnatów na myśl nie przyszło, aby o kościelno-politycznem położeniu mówić ze stanowiska narodów madziarskich.

„Na wiecu katolickim w Żylinie, a więc w Słowacyi, obrażono narodowość słowacką, bo język jej zupełnie z obrad wykluczono. Mimo to pragną obecnie magnaci ludu słowackiego, aby język ten odegrał rolę stafaży.

„Słowacy mają wielmożnym panom wypełnić salę, o nic więcej magnatom nie chodzi. I to także okoliczność charakterystyczna dla obecnych stosunków na Węgrzech!“

* * *

Do „Hałyczanina“ małoruskiego piszą o stosunkach wśród Słowińców panujących, co następuje:

„Stronnictwo starosłowińskie, które jest stronnictwem klerykalnem zmienia co chwilę swoje stanowisko. Utrzymują starosłowińcy, że stronnictwo ich powinno w pierwszym rzędzie bronić religii i Kościoła przed napaściami liberałów, mimo to każdy człowiek nieuprzedzony musi przyznać, że posuwają się za daleko, — że o obronie religii mowy tu nie ma. Najlepszym dowodem tego jest adres wyrażający zaufanie niemieckiemu hrabiemu p. Hohenwartowi; adres ten przyniósł stronnictwu klerykalnemu tak mało szczęścia, że odłączyli się od niego ci nawet stronnicy, bez których partya nie mogłaby istnieć.

Do stronnictwa klerykalnego powinni byli należeć w pierwszym rzędzie księża ze względu na swoje stanowisko i zawód. Tymczasem widzimy, że słowińscy duchowni w Styryi, Korutanach i Przymorzu zachowują się w obec starosłowińców bardzo ozięble, a nawet nieufność

---

4)

OLA HANSSON.

SENSITIVA AMOROSA.

Nowe problematy serca.

(Tłóm. Empa.)

IV.

Było to już w końcu Listopada, drzewa stały ogołocone z liści, które zgniłe, mokre i brudne, leżały na ziemi. Park o tej porze roku był bezludnym — mój przyjaciel i ja byliśmy sami, i przechadzaliśmy się w milczeniu po krętych, wązkich ścieżkach. Wilgotna mgła późnej jesieni zawisła ciężko na drzewach: zdawało się, że szara atmosfera spuściła się nizko i zaciężyła na drobnych gałązkach, a wilgoć zbierała się w krople, które rosnąc i rosnąc, odłączały się i spadały. Wieczór nadchodził — było to o późnej, popołudniowej godzinie, krótko przed zmrokiem. Raz poraz stawaliśmy na chwilę: dokoła nas było wilgotnie i cicho — świst lokomotywy przerywał w dali ciszę — zaraz potem rozlegał się pojedyńczy, przeraźliwy krzyk jakiegoś dziecka, tak, jak gdyby błysk rakiety przedzielił powietrze, zwolnił biegu, zatrzymał się i zgasnął — i cisza i szara przestrzeń zamknęły się na nowo, i milczenie zjednoczyło się z owemi kroplami które spadały, jedna po drugiej, wielkie, ciężkie, jedna tu, druga tam...

Doszliśmy do jednego z wałów, ciągnących się wzdłuż parku, a z których rozlegał się rozległy widok na płaską ziemię i na morze. Na każdym końcu rozszerzał się ów wał w otwarte półkole — i tam, nagle, ujrzeliśmy jakąś postać kobiecą, której miękkie kontury rysowały się wyraźnie na szarem tle; była ona wysoka i szczupła, i stała nieruchoma i samotna wśród tego cichego, chmurnego, listopadowego krajobrazu. Gdy przechodziliśmy koło niej, obróciła się zwolna, a w twarzy jej, w wyrazie ust i w spojrzeniu jej ciemno-niebieskich oczu był taki sam wyraz ponurego, bolesnego smutku, jaki panował owej późno-jesiennej przyrodzie dokoła nas. — Obejrzałem się za nią na skręcie ścieżki — stała zawsze jeszcze w tem samem miejscu, nieruchoma, samotna, odznaczając się wyraźnie na tle szarego powietrza — obraz późnej jesieni i uosobienie szarego usposobienia.

Mój towarzysz zaczął opowiadać jedno zdarzenie z swego życia — patrzał przed siebie z jakimś nieprzytomnym uśmiechem, i mówił przytłumionym głosem, tak, jak gdyby nie mówił do mnie, tylko, jakby ten krajobraz późnej jesieni i wspomnienie lata napełniały go tak gwałtownie wzmagającem się wzruszeniem, że przepełniało ono jego duszę i wylewało się potokiem słów, a słowa te były tak przeciążone melancholją, jak ciche, pojedyńcze uderzania kropli mgły.

„Widzę w tej chwili pewną twarz kobiecą tak wyraźnie, jak jej nigdy nie widziałem od chwili, w której spotkaliśmy się po raz ostatni, i gdy ją w rzeczywistości miałem przed sobą. Nie wiem, kto ona była, i jak się nazywała — nie zamieniliśmy nigdy jednego słowa, a jednak była owa istota — podczas całego jednego lata — jedyną treścią moich myśli i wszystkich moich uczuć — wszystkiem, czem dla mnie było życie. Gdy w samotnych godzinach — a one są jedynem, co mi jeszcze przyjemność sprawia — roztrząsam ubiegłe życie i wszystkie zdarzenia i składam i rozkładam je znowu — rozumiesz, co mam na myśli, jest to tak, jak kiedy się porządkuje stare listy i pamiątki — to tworzą owe dwa miesiące jedną całość dla siebie. A gdy otwieram kopertę, która nosi ową datę — to nie zawiera ona nic więcej, jak samotny portret jakiejś nieznanej bezimiennej kobiety, która jednak była mojej duszy tak bliską, jak może żadna z tych wszystkich, pomiędzy którymi żyłem dzień w dzień długie lata. Gdybym je, nie był spotkał, to byłyby może te dwa miesiące tak wymazane z mego życia, jak

okazują dla przywódzcy dr. Mahicza. Skutkiem tego posądzono wielu duchownych słowińskich o liberalizm i sprzyjanie Młodosłowińcom, a wobec podejrzeń takich musieli duchowni tak długo milczeć, dopóki nie nadarzyła się sposobność wystąpienia ze zarzutem liberalizmu przeciw zwolennikom doktora Mahicza. Adres bowiem do hr. Hohenwarta, naczelnika niemieckiej liberalnej lewicy, świadczy, iż w pierwszym rzędzie o interesa religijne nie chodzi. W tym sensie odzywają się teraz duchowni, należący do obozu młodosłowińskiego, wytykając księżom, podpisanym na adresie do hr. Hohenwarta, liberalizm. Adres stał się powodem rozdwojenia w obozie klerykałów słowińskich...“

* * *

Młodoczeskie „Narodni Listy“ tak piszą o stosunkach narodowościowych na Śląsku: „Polskie pisma starają się w ludzi wmówić, że w Cieszyńskiem żyją tylko Polacy i Niemcy, a Czechów niema. Tymczasem tak nie jest, czego dowodem dane statystyczne: W Cieszyńskiem naliczono w roku 1890: Niemców 412.114, — o 4.849 więcej aniżeli w roku 1880, — Czechów 73.892 — o 2,109 więcej aniżeli w roku 1880, — Polaków 177,418 — o 23,694 więcej niż w roku 1880. Od roku 1880—1890 urosła liczba Czechów o 3 prct., Polaków o 15 prct. Stąd wynika, że w Cieszyńskiem żyje istotnie Czechów więcej aniżeli na Śląsku czeskim, gdzie ich tylko 56,242, dalej, że Polaków tam nieproporcyonalnie więcej przybywa aniżeli Czechów. Nie może być według wykazów statystycznych mowy, aby polskie wsie się czeszczyły, lecz przeciwnie czeskie wsie się polszczą.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Z CYKLU „BEZ POEZYI“.

W szpitalu.

I.

Już w chloroformie umoczona chusta
Już ją złożyli na wybladłej twarzy,
Klęją się oczy, lecz duch jeszcze marzy
I cicho szepczą rozchylone usta.

Śni blade dziewczę. U starej matuli.
W gronie siostrzyczek białą kądziel przędzie.
A z srebrnych nitek białe płótno będzie..
Matko! ratunku! bo mi ręce skuli.

Śni blade dziewczę. U srebrnej topoli
Jasienko nocą na fujarce grywa...
Jaśku! mój Jaśku! tak mnie serce boli.

Ciszej!... ślub idzie... żwawy drużba śpiewa...
A oni zgrzeliną koszulę rozpięli
I na weselu piersi jej wycięli.

II.

Czas mijał szybko. Już wiosenne puchy
Drzew odrodzonych stroiły korony.
A tam kobieta wśród kwiatów osłony
Siedziała blada jak umarłych duchy.

Lecz ból śmiertelny piersi nie rozrywa.
A w ciemnych głębiach, gdzie zgnilizny ślady
Pocałunkami niósł anioł zagłady,
Znów potargane łączą się ogniwa.

I zmartwychwstała! Lecz jam słuchał smutny
Tryumfujących śpiewów odrodzenia
I przeklinałem w duszy los okrutny,

Bo zdało mi się, że z ust wszechstworzenia
Kainów nuta szemra w gwiazd wyżynie:
„Czemu z krwi tylko nowe życie płynie?“

W. R.

GERHART HAUPTMANN.

Studyum.

I.

Na deskach „wolnej sceny“ w Berlinie odbyły się dramatyczne primicye Gerharta Hauptmanna. Wtedy to (w r. 1889) zwrócił młody poeta po raz pierwszy na siebie uwagę niemieckiej publiczności, chociaż w kołach literackich nazwisko jego zajaśniało na chwilę już w r. 1885. W księgarniach stolicy zjawił się wonczas poemat symboliczny p. t. „Promethidenloos“ — nieco Byronowska tragedya śpiewaka-idealisty, którego wrzawa zwierzęcych instynktów ludzkich, fałszu, obłudy i brutalnej walki o złoto w ponurą rozpacz pogrąża. O skały lutnię rozbija marzyciel, rzucając drżącemi usty pytanie: Śmierć czy nienawiść? A jednak ani kulą głowy nie roztrzaskał, ani nie zasklepił się w beznadziejnej nienawiści młody poeta. W głębinach serca jego tliły się mgliste przeczucia świtów potężnych, — ten wielki niepokój, który dziś całą Europę przenika, ten zapał Prometeuszowy, wykradający Bogom płomienie, i bunt zuchwały, który rękę w pięść zaciska i uderza w kolumny społecznego gmachu. Nie w pesymistycznym finałowym akordzie poematu, lecz w bojowych melodyach prologu szukać należy rdzennych pierwiastków Hauptmannowskiej twórczości.

Wypręża się lew młody przed nami do skoku — źrenice króla pustyni krwią nabiegają, ale jest w nich blask dumy królewskiej i wiary w zwycięstwo:

Ich singe frei und schein ich auch nicht zünftig,
Was kümmert's mich und meine freie Brust?
Mag man verkennen mich, so jetzt als künftig,
Ich singe ja, weil singen meine Lust.
Will man mir aber meinen Gott erschlagen,
Dann führe man auch Götter in den Streit!
Wer Alles singt, der kann auch Alles wagen,
Der ist zum Tode für sein Lied bereit.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Du magst mit Tauben nach Belieben walten,
Doch mein Gesang fliegt keinen Taubenflug,
Und Deine Fesseln können ihn nicht halten,
Noch Du bemeistern meines Geistes Flug.
Nimm weg die Hand von eines Leuen Mähne,
Er schüttelt sie und schaut Dich dräuend an.
Nimm weg die Hand, Du Mann der milden Thräne,
Du Mann des Glückes, Du zufried'ner Mann!

Prolog poematu „Promethidenloos“ jest niejako prologiem całej twórczości Hauptmanna, bo z tego potępienia istniejącego porządku rzeczy, z tego opozycyjno-reformacyjnego fundamentu wyrosły nieomal wszystkie dramatyczne utwory poety. To też nie w naturaliźmie francuzkim szukać nam głównych karmicieli talentu jego, lecz raczej na wojowniczej północy, wśród nieubłaganych krytyków szwedzkich i norwegskich. Zbliżony więcej do subjektywnego polemisty Ibsena niż do objektywnego epika Zoli występuje Hauptmann w szranki teatralne z mglistym przeczuciem nowego świtu i w nerwowym niepokoju targa zasłoną niepewnego jutra. Jutra? Pragniemy go wszyscy, ale nikt słowa zaklęcia nie znalazł i ztąd to błąkanie, ten strach, a czasem beznadziejność głucha.

* * *

W roku 1862 na Śląsku polskim ujrzał światło dzienne niemiecki poeta, a młodość jego upływała w ciężkich zapasach z losem, który mu róż nie rzucał pod nogi. Na ławie szkólnej nie zdradzał Hauptmann wybitniejszych zdolności, a wkrótce, zniechęcony do nauki i przygnębiony niedostatkiem osiadł w cichej wioszczynie śląskiej, owianej tchnieniem pobożnego mistycyzmu. Lecz burzliwy duch młodzieńca nie znalazł spokoju w sennej atmosferze ciasnego zaścianka. Wykąpany w ciszy

---

gdyby nie były nigdy istniały — teraz zaś wracam ciągle i ciągle do tego wspomnienia, jak do czegoś, co mi dało szczęście, i co się szybko przesunęło i znikło!

Dwa lata minęły już teraz od czasu, gdy ją po raz pierwszy ujrzałem: zamieszkałem wówczas w W., aby się kąpać, odpocząć i odmłodzić w blasku słońca i w morskiem powietrzu. Dzień był deszczowy, o wilgotnem, ciemno-błękitnem niebie, pomiędzy czarnemi, luźnemi masami chmur, leżącemi nizko nad cieśniną i nad miastem; wicher pędził je gwałtownie naprzód, dając nam, już to słońce, już to drobny, przejmujący deszcz. Pod wieczór zapanowała cisza — słońce zaszło z całą świetnością, i gdy wyszedłem na groblę, koło portu, objął mnie świeży spokój z wonnemi wyziewami deszczu, zieleni i kwiatów w powietrzu i w wodzie silne barwy zgęszczone wilgocią — wszędzie przytłumiona obfitość kolorów i woni — ty wiesz jakiemi mogą być takie wieczory czerwcowe!

Jak sobie może przypominasz, znajduje się na końcu grobli wysunięta taras, i schody prowadzące przez mur kamienny na dół, do obszernego placu, otoczonego luźnie leżącemi kamieniami, a któremu mieszkańcy miasta nadali sentymentalną nazwę „przylądka westchnień.“ Tam siedzą zwykle młodzi ludzie, którzy w letnie wieczory marzyć i śnić lubią, kołysząc zmysły cichym pluskiem fal i orzeźwiając się słonem morskiem powietrzem.

Ludzi było mnóstwo. — Usiadłem na jednym z kamieni — wszyscy milczeli, tylko tu i owdzie dały się słyszeć pojedyncze słowa, które wypływały niejako z ogólnego usposobienia, i ani na odpowiedź czekały, ani jej też nie otrzymywały; zdawało się, że każdy ma swoje własne myśli, i że jeden nie śmie drugiemu przeszkadzać długą, powszednią rozmową. — Siedziałem tam już dosyć długo, gdy, odwróciwszy głowę, spostrzegłem nagle dwoje oczu, utkwionych we mnie. Z początku nie widziałem nic więcej, oprócz tych dwojga oczu, zdawało mi się, że nietylko moje spojrzenie, ale i cała moja istota jest nagle pochwyconą i przytrzymaną, że coś mnie mimowoli ciągnie, naprzód pochyla — że wszystkiemi memi myślami i zmysłami żyję tylko w głębi tych oczu, i, że nie posiadam już żadnego samodzielnego i rzeczywistego istnienia. Gdy to minęło, i gdy się znowu znalazłem, i gdy mój badawczy wzrok i równowaga umysłu znowu wróciła, myślałem wyłącznie tylko o oczach tej twarzy kobiecej. Były one ciemno-szare, z źrenicą prawie nienaturalnie rozszerzoną, jak gdyby w bezsilnie pytającem przerażeniu, w wyrazie zaś spojrzenia leżało coś nieokreślonego — nie wiem co to było, i nigdy na to słów znaleść nie umiałem, ale poznaję to znowu, gdy patrzę na te nagie pnie, na to mgliste powietrze, na tę samotną tam kobietę, i gdy słyszę, jak te wielkie, ciężkie, pojedyńcze krople spadają jedna po drugiej. I zwolna gdy się moje własne spojrzenie od niej odrywało, odkryłem, że ma małą głowę i szczupłą postać, czarną suknią i bladą twarz, której ostre linie koło krótkiej, górnej wargi, nadawały wyraz cichej boleści... Była ona jak delikatny, biały kwiat, rozwijający swoją chorobliwą piękność w jesiennem słońcu, wśród umierającej przyrody. Nie wiem, jak długo jeszcze siedzieliśmy tak zwróceni ku sobie, oko w oko — bo przecież w takich godzinach traci się związek ze wszystkiem, co nas otacza, a czas unosi się wysoko nad nami, jak słaby szelest.

Zmrok zapadł — wszystkie barwy zgasły — była już noc; „ona“ odeszła, ja się też podniosłem, i było mi tak, jak gdybym się obudził z długiego snu, i jak gdyby dobry sen, podobny do wypoczywającej ulgi, leżał w głębi mej duszy. Poszedłem do domu i zwolna zrosłem się z rzeczywistością, która się znowu dokoła mnie zamknęła, ale przy wszystkiem, co słyszałem i widziałem, zdawało mi się, że się ta wewnętrzna rzeczywistość zrywa, rozdziela i znika, jak mgła poranna, i widziałem, z jakiemś niekreślonem uczuciem, że oprócz niej miałem coś jeszcze, do czego się przywiązać i z czego się cieszyć mogę, coś, czego nikt widzieć i nikt rozumieć nie może, tylko ja sam, i co dla tego jest mojem i tylko mojem!

wiejskiego ustronia rzuca się w świat szeroki i pobujawszy kilka miesięcy w różnych miasteczkach i miastach, osiada w Wrocławiu, gdzie na akademii sztuk pięknych poświęca się z zapałem rzeźbiarstwu. I sztuka jednak nie zdołała młodzieńca na czas dłuższy uwięzić. Wkrótce widzimy go w Jenie, gdzie jako wolny słuchacz uczęszcza na wykłady nauk przyrodniczych i pojmuje za żonę dziewczę piękne i bogate, które w dom jego wnosi szczęście i dostatek. Za namową ukochanej kobiety wraca młody Hauptmann do porzuconego rzeźbiarstwa, lecz wkrótce w artystycznej duszy budzi się dawny niepokój i znów rozpoczyna się wędrówka po świecie. Zwiedza Hiszpanią, Francyą, Włochy i Szwajcaryą, dłuższy czas bawi w Rzymie, Zurychu i Berlinie, a porwany wirem walk i prądów społecznych nurza się w nich z namiętnym zachwytem i tu cel życia znajduje. Już go nie nęci piękno plastyczne, już przed wdziękiem rzeźby heleńskiej nie uchyla czoła — kalectwo i nędza organizmu społecznego budzi w nim ducha twórczości i dłuto artysty na pióro dramaturga zamienia...

Pamiętam dokładnie Hauptmanowską premierę. Było to pierwsze przedstawienie wolnej sceny berlińskiej, którą wśród wrzasku filistrów na świat wydało grono literatów z Ottonem Brahmem na czele.

Już na kilka tygodni przed otwarciem teatru widywałem w księgarniach żółtą okładkę nieznanego mi utworu „Vor Sonnenaufgang“, a ponad tytułem nieznane nazwisko „Gerhart Hauptmann“. Zrazu głuche milczenie otaczało książkę. — gdy jednak mistrz „naturalistycznej“ reklamy, księgarz nakładowy Fischer, rzucił tajemnicze słowo, że Brahm „odkrył“ Hauptmanna, gdy wreszcie pierwszy afisz wolnej sceny wymienił tytuł dramatu, zerwała się burza nawalna w Berlinie i wkrótce nazwisko młodego autora było na ustach wszystkich. W dniu przedstawienia silnie zorganizowana opozycya zajęła loże i krzesła, a teatr zmienił się w arenę hałaśliwych zapasów literackich. Zdawało się nawet na chwilę, że już w połowie utworu żelazna zapadnie kurtyna; gdy bowiem na scenie ukazał się lekarz z termometrem w ręku, podał mu jeden z widzów parterowych szczypce połogowe z cynicznym okrzykiem: „Bitte auch das Kollege!“ Przeciwnicy Hauptmanna powitali burzą oklasków ten niesmaczny dowcip, a przyjaciele podnieśli taki krzyk oburzenia, że tylko energicznej interwencyi władz policyjnych, które niewczesnego żartownisia usunęły z teatru, udało się uciszyć rozhukane bałwany. Chwilami jeszcze manifestowała opozycya swój protest, ale orkiestra piszczałek i śmiechów słabła z minutą na minutę, ujarzmiona potęgą talentu. W końcu raz jeszcze ozwało się przeciągłe sykanie, lecz bywalec teatralny widział w niem tylko rozpaczliwe odstrzeliwanie pobitej armii. — Hauptmann zwyciężył.

„Przed wschodem słońca“ jest tytuł dramatu, w którym młody poeta zogniskował mnóstwo motywów społecznej i patologicznej natury. Socyalizm w walce z kapitałem, ponury obraz rodzinnych stosunków, brutalna lubieżność, alkoholizm i teorya dziedziczności, wszystko to plącze się i wyrasta przed okiem widza do rozmiarów posępnego obrazu Dantejskiego piekła. A w tej strasznej czeluści widzimy białego anioła, który naprożno wyciąga ręce do bohatera dramatu i ginie zmiażdżony w otchłani. Lecz posłuchajmy treści utworu.

W pewnej miejscowości prowincyi Śląskiej odkryto bogate kopalnie węgla, a ludność, porzuciwszy rólnictwo, czerpie z głębin ziemi „czarne dyamenty“ i z wyuzdaną swawolą używa bogactw, któremi los tak nagle ją obdarzył. Do złotodajnego ustronia przybywa socyalistyczny agitator Alfred Loth, aby na miejscu zebrać statystyczne dane do naukowej pracy ujawniającej wyzysk robotników. Tu Loth poznaje dawnego kolegę, inżyniera Hoffmanna, który poślubiwszy Martę, córkę bogatego chłopaKrausego, jest naczelnikiem wyzysku i tarza się wraz z rodziną Krausów w błocie rozpusty. Hoffmann, wyuzdany lubieżnik, stara się błyskotliwemi frazesami pokryć wewnętrzną zgniliznę i ujmującą gościnnością otumanić dawnego przyjaciela, w którym przeczuwa zaciętego wroga. Loth jednak za bystre ma oczy i zwolna poznaje wstrętne tajemnice całego zaułku, — trujące wyziewy, któremi oddycha Krausów rodzina. W kopalniach panuje fatalny nieporządek, z którego płyną bezustanne nieszczęścia dla pracujących górników. Macocha córek Krausego, wstrętna megera, utrzymuje zakazane związki z parobkiem Kahlem, aspirantem do ręki jednej z pasierbic. Marta, chorobliwa ofiara ojcowskiego alkoholizmu, Krause, pijak nałogowy, parobek Beibst, nikczemna, niewolnicza natura, i służąca Spiller, pospolita oszustka, dopełniają przerażającego w swej grozie obrazu. W zgniłej atmosferze takiego otoczenia żyje młodsza córka Krausego, H e l e n a, jedyna istota, która nie utonęła w lepkiem bagnisku rodzinnego domu. Wśród pijanych wrzasków ojca, wśród błota, w którem nurza się macocha, wśród nieustannych napaści, pożeranego lubieżnością szwagra, pozostała czystą i nieskalaną, jak lilie wodne na cuchnących moczarach. Drżąca, miotana uczuciem obrzydzenia, rozpaczliwem okiem wygląda zbawcy swojego...

I oto przed znękanem dziewczęciem zjawia się nagle Loth, — apostoł miłości bliźniego, z zapałem młodzieńczym w oku, z błogosławieństwem dla upośledzonych i cierpiących. „Moja walka jest walką o szczęście wszystkich“ mówi Helenie, a ona, która na pensyi w Herrnhut rozwidniła swój umysł, rozumie go i kochać zaczyna. Z dnia na dzień rośnie ta miłość namiętna i wkrótce ogarnia Lotha, który wzruszony gorącemi pocałunkami Heleny, jej tęsknotą za czystszem życiem i odblaskiem ducha własnego, postanawia ją oswobodzić i poślubić. Lecz chwilę tylko trwa sen czarujący. Przed okiem socyalistycznego reformatora zjawia się upiór dziedziczności. Loth widzi Martę obarczoną spuścizną alkoholizmu ojcowskiego i lękać się zaczyna, że ta sama trucizna krąży w żyłach ukochanej kobiety. „Ty nie masz prawa wydawać na świat dzieci, które z łona matki jad trujący ssają“ — mówi mu doktryna, a chociaż lekarz domowy przekłada goraco, że chorobę ojca może, ale nie musi dziedziczyć potomstwo, chociaż w fizycznem i moralnem zdrowiu Heleny widzi pomyślną dla przyszłości wróżbę, Loth odpycha kochającą dziewczynę i bez pożegnania zostawia ją w cuchnącej kałuży. Koniec! Gmach marzeń runął, Helena nóż sobie wbija pod serce.

Jestże to rozwiązanie psychologicznie prawdziwem? Zanim odpowiemy na takie pytanie należy sobie zdać sprawę z charakteru Alfreda Lotha. Intencye autora zmierzały niewątpliwie ku temu, aby w bohaterze swoim stworzyć typ fanatycznego reformatora i filantropa, dla którego życie całe streszcza się w idei ewolucye socyalistycznej. Gdyby postać Lotha odpowiaa dała intencyom poety, gdyby Loth był istotnidoktrynerem par excellence, przejętym aż do szpiku kości teoryą swoją, wtedy ta bolesna walka miłości z ideą, ten psychologiczny moment przełomu, zajaśniałyby przed nami jako objaw natury fanatycznej i jednostronnej, przetapiającej wszystkie uczucia w ogniu idei społecznej. Loth jednak nie wyrasta przed nami do wyżyn natchnionego proroka, — to deklamator i suchy liberał niemiecki. Jego idea socyalistyczna nie sięga po za rogatki nikłych półśrodeczków, któremi szarą dolę uciśnionych rozjaśnić pragnie. Nie jest to zapalony apostoł przewrotu, krańcowy pionier socyalizmu, lecz gładki retor, szermujący błyskotkami a ograniczający działanie swoje na apoteozie wstrzemięźliwości, skombinowanej z mglistemi teoryami atawizmu. Loth nie budzi wiary w posłannictwo swoje, nie elektryzuje nas bałwochwalczą wiarą w bóstwa wyśnione, — czuć, że to dyletant, który nie pogłębił przekonań swoich, a upaja siebie dymem słów własnych. I dla tego rozwiązanie dramatu jest dla nas niespodzianką, która budzi nieufność i niesmak. Nie żądamy od bohaterów dramatycznych, aby stanowili lepszą cząstkę serca naszego, aby idealnym blaskiem świecili na scenie, ale wymagamaby każdy ich postępek, czy to wzniosły czy brutalny, był naturalną konsekwencyą indywidu-

---

I zawiązał się stosunek miłosny, który trwał całe trzy miesiące, stosunek miłosny bez wypadków, bez cielesnego zbliżenia się, bez jednego — jedynego słowa! Czyż uwierzysz mi, czy rzeczywiście możesz to zrozumieć, jeżeli ci powiem, że takiej zażyłości nie miałem z żadną kobietą, jak z tą, z żadną z tych wszystkich, których ciało posiadałem, i z któremi szeptałem w takich chwilach, w których, dusza się odsłania! Widzisz — bawiłem się przez całą jedną zimę, dni nadchodziły i mijały, jak im się podobało — tydzień następował po tygodniu, miesiąc po miesiącu — chwytałem wszystko, co mi się zdawało być godnem bliższego obejrzenia, a resztę odrzucałem. Miałem wiele stosunków z kobietami — po największej części sprzedajny towar — w kilku razach było wzajemne, prawdziwe upodobanie — ale wogóle cel zawsze był ten sam, i koniec ten sam: gdy osiągnąłem to, czego chciałem, kończyło się wszystko. Pożądanie, zmęczenie, zwykle obrzydzenie, wnajlepszym razie lekki smutek przy wspomnieniu, voilà tout. Gdy przybyłem tutaj do wód, były moje zmysły przesycone, i nie mógłem spojrzeć na kobietę, aby jej w mojej wyobraźni nie rozebrać i nie brzydzić się w myśli banalnym aktem łączenia się, tym nędznym, a najwyższym szczytem wszelkiego szczęścia miłosnego. I widziałem ten obraz przed sobą — stał on przedemną z dokładnością hallucyacyi, i nie mógłem go się pozbyć — czułem obrzydzenie dla kobiet, i obrzydzenie dla samego siebie, a równocześnie tęskniłem więcej i niecierpliwiej, niż kiedykolwiek za temi delikatnemi, cichemi dźwiękami, jakie w duszy mężczyzny tylko kobieta wywołać potrafi!

Codziennie po obiedzie, przed zajściem słońca i przed zapadnięciem zmroku, wychodziłem na grobię portową; byłem pewien, że zastanę „ją“ siedzącą na tem samem miejscu, na którem ją widziałem po raz pierwszy; byłbym się czuł smutnie zawiedzionym, gdyby jej tam nie było, jak się to rzeczywiście mogło zdarzyć. Siadałem w niejakiemś oddaleniu od niej: odblask zachodzącego słońca wisiał jak ulotny promień świetlany wysoko w powietrzu, podczas kiedy poniżej niego było już ciemno; powierzchnia wody w cieśninie rysowała swe ostre linie na północnem, wieczornem niebie, a „ona“ patrzała w dal, samotna i nieruchoma, bokiem zwrócona do wody — potem odwracała się zwolna do mnie — i wtedy nagle instynktownie — zanim jeszcze widzieć mogłem, uczuwałem jej oczy utkwione we mnie. I ci, którzy siedzieli dokoła nas, nie wiedzieli nic o tem, że my oboje posiadaliśmy się tak, jak się tylko dwoje ludzi posiadać mogą! Bo czy w rzeczywistości jest fizyczne połączenie się mężczyzny i kobiety czemś ściślejszem, niż to stopienie się istot dwojga ludzi, w którem uczucia i myśli łączą się, zespalają i nowe zarodki wydawają?

Noc nadchodziła — jeden po drugim wstawał i znikał — dokoła nas stawało się coraz ciszej, i kamienie były próżne. A gdy i ona odeszła i gdy wracałem do domu, unosiłem z sobą takie uczucie, jak gdybym posiadał jakąś wewnętrzną tajemnicę, której nikt nie znał, tylko ja, i jeszcze ktoś. I zdawało mi się, że to uczucie czeka na mnie, i że zanosi mnie daleko, daleko, przez nieskończone czasy i przestrzenie, że rośnie we mnie i napełnia moją istotę i nabierałem nowych uczuć i nowego usposobienia, i wszystko wokoło mnie stawało się zajmującem i zmieniało powierzchowność. Przeszłość przestała istnieć, a rzeczywistość stała mi się ciałem z mego ciała i kością z moich kości. Woda w której się kąpałem, słońce, które grzało i olśniewało, błękitne letnie niebo, zieleń kwiatów, ulice, domy, najdrobniejsze i największe przedmioty — wszystko to były nowe tajemnice, których, jak mi się zdawało, nigdy dawniej nie widziałem, a które się teraz nagle moim oczom odsłaniały. Słowa ludzi nabrały nowego dźwięku i nowego znaczenia i stały się dla mnie nowemi istotami, których dawniej nie znałem. — I te

alizmu, aby wcielenie intencyi autora było żywym z krwi i kości człowiekiem.

Rozwiązanie dramatu „Przed wschodem słońca“ jest zatem Achillesową piętą utworu, który nadto przeładowany jest balastem różnorodnych motywów społecznej, klinicznej i etycznej treści. A jednak zajaśniał tu pierwszorzędny talent dramatyczny o niepospolitej potędze plastyki i zdolnościach mikroskopijnej nieomal obserwacyi. Z wyjątkiem Lotha lśni każda postać nietylko prawdą barw zasadniczych, lecz prawdą wszystkich półcieni, półtonów i najdrobniejszych światełek. W scenach wyuzdanej rozpusty przemawia do nas skrajny Tołstojowski realizm, przejmujący grozą bezwzględnej nagości — a wrażenie „ludzkich dokumentów“ potęguje forma, pozbawiona wszelkiego kunsztu artystycznego. Ojcami tej metody byli w Niemczech młodzi autorowie Holz i Schlaf, którzy pierwotnie stosowali ją w szeregu nowel (Papa Hamlet) a następnie w utworze dramatycznym „Familie Selicke“. Na gruncie takiego realizmu wyrósł dramat „Przed wschodem słońca“, a ztąd styl jego stanowi fotograficzne odbicie mowy potocznej i razi w formie książkowej szarpaniem i ćwiartowaniem języka, ale wprowadza na scenę tę niesłychaną „ludzkość“ każdego zwrotu, która podbija żywiołową potęgą prawdy.

Jeden z krytyków niemieckich porównał Hauptmanna z szwedzkim poetą Augustem Strindbergem, podnosząc u obu jednostronne mistrzostwo w chwytaniu twardych i ostrych tonów. Z krytycznych kuźni wychodzi rzadko fałsz równie jaskrawy, bo jeżeli Strindberg w miękkich melodyach razi nas sztucznością, to Hauptmann podobnie jak twórca „Germinala“ i „Snu“ nietylko w szorstkich staccatach, lecz i w molowych tonach rozpływać się umie. Rzewna muzyka bezgranicznej miłości unosi się nad tragedyą mętów społecznych, oświeconą blaskiem groźnego przedświtu i jest jak ostatnie tchnienie anielskości w piekle zwierzęcych instynktów. A ponad łzami, nędzą i upodleniem płynie bolesny protest poety i pomruk grożącego wybuchem wulkanu. Chwila jeszcze! krzyk rewolucyi społecznej rozedrze powietrze, a potem „wschód słońca“ rozproszy ciemności...

Dr. Władysław Rabski.

Szkoła i wychowanie.

E pur si muove.

(Odpowiedź „Gońcowi Wielkopolskiemu“ na jego „Pesymizm w „Przeglądzie Pozn.“)

III.

Pyta mnie p. Poraj, do jakiej właściwie generacyi odnieść należy sąd mój niekorzystny o stanie umysłowym młodzieży!

Odpowiadam mu na to, iż do wszystkich, które w ostatnich trzydziestu latach wystąpiły na widownię świata, z tą jedynie różnicą, iż upadek siły intellektualnej i moralnej młodego pokolenia zaznacza się z każdym lat dziesiątkiem wyraźniej, jaskrawiej: za czasów naszej młodości, a zatem w latach 1870—1880, nie bylibyśmy się odważyli popisywać publicznie z takiemi niedorzecznościami, jakie weszły na porządek dzienny w latach następnych, a i ci, którzy po nas sięgnęli po palmę przewodnictwa w naszem społeczeństwie, byliby się wstydzili pleść takie koszałki opałki, jakich sobie pozwalać mogą obecni tambour-majorowie naszej polityki bez obawy spotkania się z surową reprymendą ze strony ludzi poważniejszych. Dowodem zaś na to, jak głęboko płytkość i powierzchowność wpiły się już w krew naszemu najmłodszemu pokoleniu, i to dowodem przygnębiającym, jest on wspomniany już przezemnie przebieg ostatniego wiecu katolicko-polskiego w Poznaniu, który na stan umysłowy najnowszej generacyi tak jaskrawe rzucił światło. Gdzieindziej bowiem, wiece tego rodzaju są wielkiemi przeglądami wojennej armii kościoła, manifestacyami uczuć ludności katolickiej, którym nawet innowiercy odmówić nie mogą uznania; u nas w Poznaniu manifestacya ta spadła do rzędu melodramatycznej manifestacyi politycznej i oratorskiego turnieju.

Niektóre sekcye, na jakie wzorem wieców niemieckich podzielił się i nasz wiec, a które w Niemczech bywają ogniskami pracy najusilniejszej, dając sposobność do wzajemnej wymiany myśli, u nas po części nie mogły odbywać swych posiedzeń, bo nikt na nie nie przychodził, a w innych poprzestawano zazwyczaj na przeczytaniu i przyjęciu rezolucyi. Natomiast, jak lawa z wnętrza wulkanów lały się na posiedzeniach plenarnych mowy i mówki, przesycone formalnie wonną tłustością najpatetycznego bombastu.* A o czemże tam nie było mowy? jeden mając mówić o manifestowaniu uczuć katolickich w życiu, dał wielką siekankę cytatów wierszem i prozą z autorów polskich i zagranicznych, skąpo oblaną sosem tez własnych więcej niż wątpliwej wartości; drugi, kilku ogólnikowemi frazesami zmiażdżył na nic europejską prasę, z wyjątkiem naturalnie prawowiernej prasy galicyjskiej i poznańskiej; inny, mając prawdopodobnie starą, niewygłoszoną mówkę w zapasie, zamiast zreasumować na zakończenie działalność wiecu i przedstawić jego wyniki, rozwodził się o wszystkiem i niczem w stylu, którego bujna kwiecistość — na pensyi żeńskiej zpewnością by mu była przyniosła predykat „très-bien“ i t. d. i t. d. Słowem, miasto pouczenia o sprawach żywotnych, nasze polsko-katolickie społeczeństwo bezpośrednio obchodzących, miasto moralnego ukrzepienia i rozjaśnienia zasadniczego pytania, co nam Polakom i katolikom dalej począć należy na tem rozdrożu, na jakiem stoimy, — uczestnicy wiecu wynieśli pełne uszy onego szurumburum, które jako dźwięk kotłów i puzonów zbyt silnie obsadzonej kapeli po skończeniu koncertu drga jeszcze długo w naszych nerwach, ale sprawia nam tylko nieprzyjemne dudnienie głowy. Ono tercyanerstwo....

* Z wyjątkiem mów ks. Wolszlegiera i ks. Jaskólskiego, które opracowane były rzeczowo i wiele faktycznego przyniosły materyału.

Ale nie! dam pokój, bo widzę, że się gniewasz, panie Poraju.

Czy jednakże ta płytkość i powierzchowność w sferach naszego społeczeństwa ton nadających to wytwór jedynie naszej szkoły i naszego wychowania?

Panie Poraju? z tenoru twej krytyki widzę, iż jesteś człowiekiem nieuprzedzonym i że prawdy tak samo szukasz, jak ja jej szukam. Odkryję ci więc wnętrze mej duszy i nie weźmę ci nawet za złe, jeżeli mnie pomówisz o pesymizm. W tym punkcie bowiem, wyznaję szczerze, iż skłonny jestem rzeczywiście do pesymizmu. Ot, słuchaj!

I ja sądzę, iż temu bujnemu rozrostowi zawstydzającej płytkości i powierzchowności w klasach wyższych naszego społeczeństwa nie sama szkoła winna i nie samo wychowanie, ale że leżą one poczęści w naszej naturze, w ciałkach naszej krwi i molekułach naszego mózgu. Żeński charakter naszego narodu pozbawiony jest niestety onego pierwiastku fanatycznego w dobrem słowa tego znaczeniu. Więc też zapalić się na moment do jakiejś idei strasznym, na pozór wszystko pochłaniającym ogniem jesteśmy bardzo łatwo wstanie, ale przejąć się jakąś ideą do szpiku i kości, pracować nad tą ideą poświęcić czas zdolności dla tej idei wyrzec się poklasku rzeszy i wygód życia, tego nie byliśmy, nie jesteśmy i pono nigdy niestety nie będziemy wstanie dokonać.

I wtem też leży główny zarzut, jaki czynią szkołom, stojącym ongi w osobliwym odorze patryotycznej świątobliwości i ściągających do siebie tłumami młódź polską wyższych stanów, iż nietylko rozrostowi tych ujemnych pierwiastków w naszym charakterze nie starały się zapobiegać przez przyzwyczajenie jej do karności, pilności, porządku, miłości prawdy i sumienności w spełnianiu obowiązków, ale przeciwnie rozwój ich popierały przez niedbalstwo i niechlujstwo i truły dusze przez frymark niecny promocyami.

A niechaj mnie p. Poraj nie ma w posądzeniu, iż stawiając tak ciężkie zarzuty, piszę z abstrakcyi: Owszem, sam lat kilka spędziłem w jednym z takich gimnazyów i gdyby nie dyskrecya, nakazna względami na osoby poczęści jeszcze żyjące, mógłbym mu z moich wspomnień szkolnych dostawić anegdotycznego materyału na zapełnienie kilku tomów. Z tego też powodu rozbicie tego rodzaju zakładów żadną miarą za wszechstronne i bezwzględne nieszczęście uważać nie mogę, jakkolwiek p. Porajowi w tem przyznaję racyę, iż dzisiejsi nauczyciele wpadają często w przeciwny ekstrem i indywidualność ucznia gnębią z beztaktowną bezwzględnością. Ale w wielu razach ta bezwzględność miewa swe źródło nie w osobistych intencyach nauczyciela, tylko w błędnym kierunku, w jaki wogóle popadła nowsza pedagogika w Niemczech.

Co zaś do onej zasady, jaką głosi p. Poraj: dla uczniów Polaków polscy nauczyciele, dla Niemców niemieccy, to proponuję mu, abyśmy spór o to zawiesili aż do tych czasów, gdy

---

nowe cuda, które w duszy czułem, nie wiedzą dokładnie, co to było, zaczęły się nagle poruszać i ożywiać — miałem dreszcze we krwi z bolesnej rozkoszy, powieki moje paliły mnie i stały się wilgotnemi — wzrok nabrał bystrości — przepełnione myśli strzeliły jak promień światła na tajne życie istnienia i stały się widzialnemi, a ja drżałem i wiłem się w gwałtownej żądzy rzucenia się na ziemię i płakania nad wszystkiem, albo nad niczem — sam nie wiem, nad czem! Jeżeli się potem pytałem samego siebie, dla czego tak czułem i zkąd pochodziło to współczucie dla wszystkiego i dla wszystkich, którzy mi byli przedtem zupełnie obojętnymi, to jedyną odpowiedzią był dla mnie widok tej smutnej kobiety, o bolesnym wyrazie ust, i pytającym żalu w oczach. I ta dziwna miłość, chorobliwie delikatna, jak skóra człowieka, powracającego do zdrowia — gdy była najsilniejszą i najpełniejszą w swej bolesnej słodyczy — wtenczas stawała się melancholijną tęsknotą, tak, że my oboje, ona i ja, bylibyśmy pragnęli przycisnąć się do siebie, jak dwoje przestraszonych zwierząt w czasie burzy, i czekać, aż nad nami przeszumi życie, owe smutne, złośliwe, okropne życie. — “

Ściemniło się zupełnie — światła zabłysły przez mgłę w mieście, a krople spadały w ciszy gęsto i często.

„I dnie mijały i minęło lato i nastąpiła jesień. Pewnego wieczoru w Wrześniu, właśnie takiego, jak dzisiejszy, kiedy wilgotna mgła zawisła ciężko nad Sundem, a usposobienie tak było ponurem, jak powietrze, stało się to, że — podczas kiedy siedzieliśmy, jak zwykle na naszych kamieniach — uśmiechnęliśmy się do siebie — smutnie, bezradnie, jak gdybyśmy uczuli w tej chwili, że oboje razem użyliśmy najlepszego, co miłość i życie dać mogą, że jedno drugiemu nic już dać nie może, że się teraz to wszystko skończyło, i że jedyne jedno zamienione słowo byłoby się stało świętokradztwem, i że każde z nas ma do zachowania wspomnienie...

Nazajutrz rano wyjechałem. — —

Ale spojrzenie jej wyrażało coś podobnego do wdzięczności.......

KONIEC.

decyzę o charakterze szkoły będziemy mieli w swem ręku. Dzisiaj bowiem spór tego rodzaju jest zupełnie bezpłodnym i chodzi wyłącznie o to, jakimby sposobem ze szkoły takiej, jaką jest faktycznie, dla społeczeństwa naszego wyciągnąć jak największe korzyści.

Do tejże kategoryi kwestyi należy dyskusya o zaletach klasycyzmu i realizmu, jako podstawy wyższego wykształcenia naszej młodzieży, temat dla mnie jako ojca pięciu kwitnących synów tak interesujący, iż może innym razem pozwolę sobie słów kilka pomówić o nim z osobna.*)

Przychodzę do ostatniego punktu spornego pomiędzy mną, a panem Porajem, t. j. do omówienia roli, jaką w czasach dawniejszych w niektórych szkołach wyższych przez Polaków głównie uczęszczanych, grała nauka języka polskiego.

Tutaj pozwolisz, panie Poraju, iż sobie odetchnę i raz jeszcze przynajmniej pociągnę papierosa, nie wiedząc, co mnie czeka. Widzę bowiem przed sobą ocean spieniony wściekłą burzą i w dali z chmur czarnych padające gromy. Ale dałem słowo, iż będę otwarty i dla tego nie zataję, co mam na sercu. A więc: w imię Ojca i Syna i Ducha św.! Zamykam oczy i skaczę w tę czarną otchłań.

Otóż panie Poraju, mnie się coś mocno widzi, i to nie od dzisiaj, **iż kwestya szkoły i ojczystego języka wprawdzie ogółowi naszego społeczeństwa drogą jest w rzeczy samej jako sprawa, od której byt i niebyt nasz zależy, lecz nie mniej droga naszym gadaczom jako temat nadający się przedziwnie do wszelkiego rodzaju patryotycznych deklamacyi.**

Jezus! Marya! panowie, nie bijcie! A ty mały człowieczono, coś się kurczowo wpił palcami w moje gardło, puszczajj niechże się wam wytłomaczę.

Puściliście! dziękiż wam za to.

A więc panowie pamiętacie te czasy, kiedy to przynajmniej u nas w Poznańskiem, patron był panem absolutnym szkoły, a nauczyciel jego narzędziem?

Pamiętacie? dobrze! więc i pamiętać musicie, iż w onych czasach było rzeczą niebywałą, aby patron kiedykolwiek o szkołę się spytał, a nauczyciel, gdy z musu i konieczności przychodził do dworu, onego dworu, którego chwała jako ogniska wielkiej patryarchalności rozbrzmiewa dzisiaj na wszystkie tony, w cichości łzy upokorzenia łykał w kredensie, zanim mu było danem ujrzeć oblicze swego patrona. Dopiero gdy wpływ patronów na szkołę został ograniczony, a wreszcie zupełnie usunięty, serca ich rozgorzały straszną miłością do szkoły.

Podobnie działo się z językiem polskim w wyższych zakładach naukowych. Do r. 1870 mieli nauczyciele nasi na tem polu swobodę zupełną, a przynajmniej mogącą uchodzić za zupełną w porównaniu z tem, co nam zostało dzisiaj, ale co z tą swobodą zrobili! W sekście, pamiętam jak dzisiaj, uczyliśmy się na pamięć paragraf po paragrafie, (nie rozumiejąc ani słowa naturalnie z tego, cośmy się uczyli), gramatyki Muczkowskiego, bez względu na to, że rzeczy takie jak podział brzmień, pochylanie samogłosek, zależność ich od spółgłosek itd. itd. nawet nie dla każdego prymanera łatwe są do zrozumienia. W kwincie dla odmiany niceśmy nie robili, tylko ciskali się nawzajem papierowemi kulami, pryskając atramentem, targali za włosy, podczas gdy nauczyciel czytał gazetę, poprawiał zeszyty, albo też po prostu spał, mając ciężką głowę po długim obiedzie. O kwarcie dotychczas ze strachem wspominam. Tam bowiem przez rok cały deklinowaliśmy i ustnie i piśmiennie stół, król, dąb, ryba, pani, koło, prosię i t d. i t. d., podczas gdy nauczyciel, albo czytał gazetę, albo stał przy oknie i patrzał na ulicę, bębniąc palcami w szybę. I tak szło niemal przez całe gimnazyum. O polskiej literaturze bardzośmy tylko niedokładnego nabrali wyobrażenia, bo nasz nauczyciel dochodził zwykle do psałterza Małgorzaty i w roku następnym znów od początku rozpoczynał. A jużbym chyba wielką krzywdę uczynił pewnemu nauczycielowi polskiego języka, w pewnem innem gimnazyum, gdybym dzieł jego na tem polu nie podał potomności:

„Chłopaki“, odzywał on się do swoich prymanerów, „ksiądz kanonik przyjedzie, będzie biba!“

I ksiądz kanonik rzeczywiście przyjechał i była biba, lecz od 3—4 była także lekcya polskiego. I na to wszakże znalazła się rada, bo pan profesor, stanąwszy we drzwiach, machał kijem i wołał stłumionym głosem:

„Pst! wynoście się, ale tak, aby stary nie widział.“

Chłopaki w targi, aby im przynajmniej książki wydał z polskiej biblioteki.

„Wynoście się! nie gadać!“ nastawał pan profesor i chłopaki rade nie rade po cichutku, na palcach wynosić się musieli chyłkiem.

I cóż, panie Poraju, chciałeś odemnie argumentów na poparcie mego twierdzenia, iż patryotyzm na polu pielęgnowania ojczystego języka przeradzał się w system konwencyonalnego kłamstwa i przyzwyczajał młodzież naszą do zadawalania się zachowaniem czczej formy. Masz argumenta, jak ci się podobają?

Nie wierzysz? Ha! to trudna z tobą rada. Ale tyle przynajmniej możesz mi wierzyć, że znacznej części naszych nauczycieli polskiego języka po wyższych zakładach naukowych — nie mówię o wszystkich — nauka języka polskiego, o ile wymagała pracy i poświęcenia, była rzeczą w gruncie serca obojętną. A boję się bardzo, iż jest ona nią i dzisiaj! Jak bowiem inaczej objaśnić sobie tę duchową martwotę, jaka od lat dziesiątków zalega pole dydaktyktyki i metodyki w zastósowaniu do języka polskiego?*) Obecne stosunki są wielce trudne dla nauczyciela tego przedmiotu — to nie ulega wątpliwości — ale możnaby i w tych szczupłych granicach, jakie mu są zakreślone, zrobić wiele więcej, gdyby szukano dróg odpowiednich. Ale komu się chce szukać dróg odpowiednich i czy to wogóle ma cel jaki? Nauka języka polskiego nie ulega przecież kontroli ze strony władz szkolnych i obawiać się nie potrzeba, ażeby czasem nie zjawił się jaki radca ministeryalny i nie kazał sobie przedłożyć jej rezultatów!

Obojętność, obojętność, panie Poraju! Obojętność, płytkość, powierzchność i nieudolność przemienienia poezyi żalu w stan czynów, oto słowa, które ci wytłomaczą niejedną zagadkę w naszem życiu! A chcesz tej obojętności, płytkości, powierzchowności nieudolności widzieć drukowane dowody, to weź od swoich synów — przypuszczam, że masz synów — książkę do czytania Spychałowicza i Molińskiego i rozejrzyj się baczniej w tem monstrum pedagogicznem, a wstydem lica ci spłoną na widok umysłowej nędzoty, jaka z niej wieje. Bo nawet na porządny podręcznik nauki języka polskiego nie zdobyliśmy się, my, którzy nad jego pokrzywdzeniem w mowach, mówkach i mówczkach lejemy łzy tak patetyczne. A tylko mi nie wyjeżdżaj czasem z młodszem pokoleniem! I ono bowiem zarażone jest obojętnością względem ojczystego języka i wyrywa się ze swej apatyi tylko wtedy, gdy jaki narodowy festynek poda sposobność do rozlewania skarg gorzkich nad jego pognębieniem. Chcesz i na to dowódów? Ot, idź n. p. do Wrocławia lub Berlina i spytaj się ilu słuchaczów miewa profesor Nehring lub Brückner? Odpowiedzą ci, iż prawią

*) W ustępach końcowych artykułu tego cytuje autor na poparcie wywodów swoich nazwiska miast i osób, które z łatwo zrozumiałych względów opuszczamy. Przyp. Red.

*) O ile sobie przypominam, czytałem tylko przed dziesięciu lub dwunastu laty jedyną jedną rozprawkę tego rodzaju w odcinku „Gazety Toruńskiej“ o nauce języka polskiego w szkołach zachodnio-pruskich. Pozostała ona jednakże głosem bez echa.

8)

Nowocześni pogromcy narodu polskiego

i jego przeszłości w literaturze historycznej.

(Dokończenie.)

Przytaczając*) za Sybel'em zdanie Jerzego Forstera, który w r. 1791 powiedział, że „w Europie sama tylko szlachta polska posunęła swoją ciemnotę i barbarzyństwo tak daleko, że wytępiła niemal w poddanych swoich ostatnie myśli“ dodaje zarazem, iż poddani polscy pogrążeni byli w nędzy w pozostałej Europie nieznanej i zwierzęcem ogłupieniu. Trudno orzec na prawdę, co należy więcej podziwiać w profesorze rosyjskim, czy jego dziwną łatwowierność, czy zupełną niewiadomość o tem, co się działo w jednym i tym samym czasie w innych krajach Europy. Dostatecznie byłoby mu jednak zajrzeć np. do dzieła Taine'a: „Les origines de la France contemporaine“, aby się przekonać, w jakim stanie znajdowali się w wieku XVII i XVIII włościanie francuzcy, o czem w tomie I tego dzieła, w księdze piątej, noszącej tytuł: „Lud“ dowiedzieć się można wielu ciekawych rzeczy.**)

Kariejew jednak woli powtarzać za p. Bobrzyńskim (str. 58), że we wszystkich innych krajach istniał rząd, który w ten lub ów sposób walczył ze złem. W innem miejscu powiada on znowu (str. 369), że zjawiska analogiczne w poddaństwie mas ludowych i prześladowań religijnych, którym przypisują upadek Rzeczypospolitej, zachodziły i w krajach innych, lecz przy rządzie silniejszym byłyby powstrzymane ostateczności przynajmniej obu zjawisk. Jest to absolutną nieprawdą a przykłady przez nas wskazane powyżej i obecnie w przypisku świadczą o tem najwymowniej. Prześladowania religijne wszędzie rząd silny, monarchiczny wspierał a nawet krzewił, podtrzymując religię panującą, ucisk zaś ludu wraz zpoddaństwem ustawał najpierw w krajach, w których zasada wolności i swobód większe znalazła uznanie. Nie mówiąc już o Szwajcaryi, która powstała z ludu, po otrząśnięciu się jego w czasach dawnych z zależnych stosunków feu-

*) Str. 110.

**) Notujemy tu parę ustępów z tego dzieła, charakteryzujących stan włościan we Francyi w stuleciach poprzedzających rewolucyę 1794 roku. Na sto lat przedtem za panowania Ludwika VI La Bruyere tak opisywał włościan swego kraju: „Widzimy pewne dzikie zwierzęta, samców i samice, spotykane na polach, czarne, sine, spalone od słońca, przywiązane do ziemi, w której się grzebią i którą wzruszają z niezwalczonym uporem. Głos mają jakby z wyrazów złożony, a gdy wstają z ziemi, ukazują twarz ludzką i rzeczywiście są ludźmi. Na noc chowają się do jam, w których żywią się chlebem, wodą i korzeniami. Wyręczają oni innych ludzi w ciężkiej pracy zasiewania, uprawiania i zbioru płodów, potrzebnych do życia i wskutek tego zasługiwaliby na to, aby im nie brakło zasiewanego przez nich chleba. Pomimo to brakuje im chleba i wymierają całemi gromadami.“ Taine dodaje, że obraz powyższy nie tylko nie jest przesadzonym, lecz nawet za słabym, ponieważ w r. 1715 prawie trzecia część włościan czyli sześć milionów zginęło z nędzy i głodu. W r. 1740, za panowaniem Ludwika XV, Massillon, biskup z Clermont-Ferrand, opisuje włościan w następujący sposób: „Nasz lud wiejski żyje w najokropniejszej nędzy, bez łóżek, bez sprzętów; większość przez połowę roku pozbawioną jest chleba jęczmiennego i owsianego, stanowiącego jedyne pożywienie włościan, zmuszonych wyrywać go z ust sobie samym i swoim dzieciom dla opłacenia podatków. Co roku z boleścią zmuszony jestem widzieć to smutne położenie, objeżdżając mą dyecezyę. Dochodzi ono do takiego stopnia, że murzyni na wyspach naszych są bezporównania szczęśliwsi, ponieważ, pracując, są nakarmieni i odziani razem ze swemi żonami i dziećmi, podczas, gdy nasi włościanie, ludzie najpracowitsi w królestwie, pomimo najcięższej i najuporczywszej pracy nie mogą mieć chleba dla siebie i swych rodzin i nie są w stanie

nieomal pustym ścianom. Bo czy też to rzeczywiście potrzebne? czy język polski pomódz komu może przy składaniu egzaminu? Gdyby to czesi byli w naszem położeniu, sala z pewnością pomieścićby nie mogła słuchaczów. Ale my, my...

Mamże dokończyć zaczętego frazesu?

Eh, co tam! Zobowiązałem się być otwartym to też nim będę do końca. A więc:

My pawiem byliśmy narodów i papugą i pono dziś niemi jesteśmy.

Kismet!

Romuald Łazęga.

ALMA MATER.

Minęły już czasy romantyzmu akademickiego. Typ akademika — nie mówię już z czasów filareckich, bo byłby to anachronizm — wyginął bezpowrotnie. Akademik ów nowelkowy, ślęczący noc całą nad wszechmądrościami na poddaszu, przy mdławej łojówce, dzień cały zaś ubiegający się o chleb powszedni po korepetycyach — nie istnieje już. Próżno sili się fantazya powieściopisarska na wskrzeszenie tej species wymarłej. Mówię tu naturalnie cum grano salis o zaborze naszym — a specyalnie o W. Ks. Poznańskiem.

Ku chwale społeczeństwa naszego zaznaczyć trzeba, że pragnąc z łona swego jak najwięcej wydać t. z. inteligencyi, rozmaitemi funduszami i instytucyami — jak np. Tow. Przyjaciół Nauk i t. d. — młode siły materyalnie wspiera, tak że prawie każdy akademik, przy jakiem takiem zasileniu domowem, już nie przy mdławej łojówce na poddaszu, ale przy jasnej lampie w wygodnym pokoiku z ksiąg mądrości czerpać może. Zdarzy się zaś, że który z mniej potrzebujących wsparcie takie uzyska, tem lepiej dla niego, choć z krzywdą dla drugich: znaną bowiem rzeczą, że kieszeń akademicka to wieczna beczka Danaid. Nie wiem zaś na czem omyłka taka polegać może, czy to na nieprawdziwem przedstawieniu rzeczy przez petentów, czy też, jak nieraz słyszeć można, na protekcyi. Nie moja to rzecz, tu na tem miejscu sprawę tę roztrząsać: instytucye takie najlepiej wiedzieć powinny komu dają.

Dzięki zatem żywemu zainteresowaniu się społeczeństwa kształcącą się młodzieżą naszą, niejeden akademik pozbawiony trosk o chleb powszedni z pogodniejszą myślą do pracy siąść może. Ba i więcej! zazwyczaj wystarcza i na pieprz, starczy raz poraz na olymp teatralny — do muzeów wstęp bezpłatny — starczy na koncert lepszy za zniżką akademicką, starczy i na kufelek monachijskiego, a może i na drugi, — twierdzić zatem można ogólnie, że każdy przeciętny akademik finansowo tak jest postawiony, że szczęśliwie po falach i burzach semestrowych w końcu do portu dobić może. A jednak są tacy, którzy....,

Nie mówię już o tych przechodniach, tych efemerydach akademickich, którzy to z pełną kieszenią i butą zaściankową dla reklamy, że tak powiem, na jeden tylko semestr zimowy na „szkołę wyższą“ idą. Toć oni dłuższego studyum nie potrzebują póki łany ojców żytem złotem żyzne — wszak później, za lat kilka i tak znów powrócą do metropolii — ale już z mandatem na lat pięć... — W pierwszym rzędzie mam tutaj na myśli akademików prawdziwych.

O złota wolności akademicka! O czem to nie marzy taki biedny abituryent po zdaniu matury? — Jeden, że będzie teraz już przez drzwi frontowe mógł wchodzić na piwko i bilard, że wolno mu na ulicy palić papierosa i t. d., inny znów odczuwa tę wolność inaczej. Niezadowolony ze strawy, którą go przez lat tyle magister częstował z katedryczcił, a może czytał że duch zdolen szersze wiedzy zmierzyć krańce — — a teraz będzie mu wolno ssać piersi almae matris aż do upojenia.

Jadą tedy na uniwersytet. Pierwszy — materyalista — rozczaruje się wnet, ale nie przyznaje się do tego w gronie starszych kolegów: szuka gdy czego innego, na jakiem to poszukiwaniu zwykle kilka schodzi semestrów. Drugi, — idealista — widzi jak bańki mydlane pryskają jedna po drugiej — dostał się w grono starszych, a ci każdy poryw jego studzą słowem „głupiś“! —

Exempla trahunt — a siła indywidualna robi też swoje. Zależy to zupełnie od tego, w jakie kółko — bo są niestety między Polakami Kółka i Kółeczka, tak na podobę owego circulus vitosus — mulus się dostanie. Pierwszy semestr schodzi zwykle na „rozpatrywaniu się,“ na badaniu gruntu. Wtenczas bywa zazwyczaj, że taki homo novus odszuka dawnego kolegę szkolnego, który rok przed nim zdał maturę, i ten staje się w takim razie jego duchem opiekuńczym, wtajemniczającym go w misteria akademickie. Rzecz naturalna, że opiekun stara się pozyskać pupila do Kółka, do którego sam należy. Czy się latorośl tu przyjmie na gruncie nowym — zależy od niej samej i od sugestyi starszych.

Jakież to te Kółka akademickie? — Pytanie słuszne, trudno bowiem przypuszczać, by na prowincyi znano skomplikowaną tę maszyneryę pożycia akademickiego. Przyznać jednakże muszę, że mnie pytanie to w niemały wprowadza ambaras. Trzeba bowiem wiedzieć, że każde Kółko dzieli się na odmienne Kółeczka, a każde Kółeczko ma znów kilka różniących się typowych członków. Potrzebaby zatem tak subtelnej analizy, że wątpię, czyby mi „Przegląd Poz.“ chciał tyle łamów stawić do dyspozycyi. Tak więc poprzestać muszę na zarysie ogólnym.

Co do liczby i obwodu wystarcza kabalistyczna liczba trzech. Nie trudno odgadnąć, że w skład tej trójki wchodzą trzy zabory: Księstwo, Królestwo i Galicya. Rzecz naturalnie jasna, że kombinacya z tych trzech nie wykluczona — najmniej jednakże udziału w tej kombinacyi bierze Galicya. Dla czego? — Nie tutaj miejsce do rozwiązywania szarad. — Że tak jest, o tem świadczą fakta, że nieszczęsny ten partykularyzm istnieje, temu nikt chyba nie zaprzeczy, kto tylko patrzy a widzi. My tylko stwierdzić musimy fakt.

Dalej, możnaby akademików podzielić na trzy dalsze klasy: t. j. takich, którzy tylko pracują, takich, którzy wcale nie pracują i takich; którzy łączą utile cum dulci, owych akademików par excellence. Trudna to bardzo rzecz z góry chcieć zaznaczyć, kto pracuje, a kto nie; nie można przecież kontroli rozciągnąć na' cztery ściany domowe i z pewnością rachmistrza typy te trzy w odpowiednie podporządkować rubryki. Niejeden grube dźwiga foljanty, wciąż utyskuje na nawał pracy, wymawia się od zabaw i kufelka, ponieważ egzamin za pasem; spojrzeć jednakże poza tę draperyę pilności — a ujrzymy blade widmo niecnej renomy.

Inny zaś, jak to mówią, do wybitki i do wypitki — do tańca i do różańca, nie odziewa się w zgrzebną suknię ascetyzmu — wszędy go widać — a jednak zrobi swoje, przyjdzie czas egzaminu — patent go nie minie. Widzimy zatem, że i tutaj pozory mylą.

Są jednakże i tacy, w których ocenie mylić się nie można, którzy są jak owi ptacy niebiescy. Zawsze fashionable od stóp do głów, widać ich tylko tam, gdzie świat lepszy się spotyka, na wyścigach, korsach, premierach operetkowych, w pierwszorzędnych balhausach i t. d. i t. d.

Poznać na pierwszy rzut oka, że to wybrańcy wśród szarej masy, uprzywilejowani patentem życia bez troski o jutro, dzięki szczęśliwemu oborowi ojców. Znani powszechnie jako „polnische Grafen“, starają się mniemanie to podtrzymać.

Nie to, powróciwszy do kraju zapewnione już mają stanowiska silną protekcyą: niezadługo spotka ich tytuł dyrektora — zawsze u nas wakujący, chociażby tylko od świeżego powietrz

---

dalnych, poddańczość włościan usuniętą została najwcześniej we Flandryi i w Hollandyi, w Anglii zaś znikła stopniowo w taki sposób, że znawcy jej dziejów sami dokładnie nie umieją wskazać czasu, w którym stosunki włościan przetworzyły się.*) W innych krajach monarchicznych Europy, z wyjątkiem Norwegii i Szwecyi, z których pierwsza od lat najdawniejszych w wyjątkowo szczęśliwych postawiona była okolicznościach, w drugiej zaś panował tylko pewien odcień zależności — we wszystkich innych krajach, powtarzamy, zniesienie poddaństwa było owocem w części oświaty filozoficznej XVIII wieku i jej poglądów, w części zaś skutkiem rewolucyi francuzkiej i jej następstw.

Wyimaginowane przez pisarzów rosyjskich ciążenie ludu rusińskiego w Polsce ku Rosyi ze względów niewoli poddańczej jest czczym i nie mającym najmniejszej podstawy wymysłem, którego żaden fakt dziejowy nie stwierdza. Jak mógł ten lud ciążyć ku swobodzie rosyjskiej, kiedy jej tam nie było? Niewola ludu dochodziła tam do potwornych form wyuzdanego okrucieństwa, a ze stosunków tych fatalnych czerpały obfitą podnietę okropne mordy i pożogi, szerzone w odwecie przez dzikie bandy wspomnianych już przez nas: Stieńki Razina i Pugaczowa, — o tem każdy się może przekonać z dzieł rosyjskich pisarzów: Kostomarowa, Iłowajskiego, Miortwago i innych.

Kończymy rzecz naszą o książce, o którejbyśmy nie wspominali, gdyby nie była przełożoną na nasz język i gdyby nie były znalazły się czasopisma polskie, usiłujące zachęcić do niej publiczność pochwałami.*) Pomimo atoli całego wysiłku autora na przytoczenie wszelkich zdań nieprzychylnych Polsce i mających służyć usprawiedliwieniem jej upadku, a właściwie mówiąc jej rozbioru pomiędzy inne mocarstwa — twierdzimy stanowczo, iż celu swego ona nie dopięła; nawet czytelnik nieobeznany z dziejami Polski, jeżeli tylko nie będzie zapatrywał się z powziętem z góry uprzedzeniem — a zatem każdy nawet bezstronny Rosyanin, czytając to dzieło, przyjdzie łatwo do wniosku, że gdzie z taką mozolną pracą postawiono i ugrupowano same jedynie zarzuty, tam widocznie iść musi nie o prawdę dziejową, lecz o coś zupełnie innego.

I. Snitko.

opłacić podatków.“ — Inni współcześni naoczni świadkowie tak piszą: „Wszędzie widać tylko straszliwą nędzę: już nie smutne uczucie nędzy ogarnia biednych mieszkańców, lecz rozpacz! życzą sobie śmierci i unikają płodzenia, obliczają, że czwarta część dni w roku dla robotników odchodzi na pańszczyznę, w jakiż sposób będą żyć i z czego? Biedacy giną z nędzy. Płacą im od wozu piętnaście sous za to, co warte talara. Wszędzie wsie zrujnowane i opuszczone, a domy żadne się nie wznoszą. Jak mi opowiadają, ludność się zmniejsza więcej niż o trzecią część... „Udziela się chłopu wsparcie, proteguje się go, rzadko mu się wyrządza krzywda — według słów jednego z bogatych panów na prowincyi — lecz się nim pogardza. Jeżeli jest dobrym i uległym, znosi ciemięztwo; jeżeli zły — dokuczają mu i oburzają go. Trzymanym jest w nędzy i w upodleniu przez ludzi, nie będących wcale nieludzkimi, lecz przejętych, zwłaszcza w klasie szlacheckiej, przesądem, że jest ulepionym z innej gliny. Właściciel wyciąga z niego wszystko, co może, we wszystkich razach uważa go wraz z jego wołami za bydło domowe, zwala na niego obowiązek podwód i posługuje się nim w każdym czasie w swych podróżach, wyprawach i transportach.“ Taine. Les origines de la France contemporaine. L'ancien regime. Paris. 1885. pp. 429—44. passim.

Podobnemi ustępami zapełniony tam jest cały rozdział.

*) Porówn. artykuły p. t. Bauernbefreiung w „Handwoerterbuch der Staatswissenschaften“. Jena. 1890. We Flandryi i Brabancie stopniowa zmiana stosunków poddańczych ludu wiejskiego nastąpiła już w wieku XII.

*) Patrz N. 10 „Kraju“ petersburskiego z r. b. str. 10.

— a kraj oczy swe ku nim zwróci pełen nadzieji, chluby i ufności. Jeszcze nie zginęła! —

Tyle zadziwiających i ciekawych robić można spostrzeżeń, że mógłby kto fałszem, a przynajmniej anachronizmem zwać twierdzenie, jakoby istniały po dziś dzień między młodzieżą naszą dwa obozy, Jeden. — — usypany znajomymi rękoma szarej masy z ziemi i darni, drugi — — wzniosły murowanymi wały, zbrojny w dumne baszty zamkowe. W jednym sterczy na palu krwawą purpurą chorągiew — z drugiego złocisty sztandar powiewa herbowy. — Hej Henryk — hej Pankracy! — Gdyby łzy oczu nie zabiegły — wartoby śmiechem wybuchnąć. — A jednak tak jest. Czy będzie....?

Zupełnie pominąć niechaj mi wolno owe — na szczęście niezbyt liczne, ciemne egzystencye, których żywiołem powietrze przesiąkłe miazmatami rozkładającej się nadkultury miast wielkich.

Odwróćmy się od nich, inaczej z przerażeniem będziem nań patrzeć musieli i wątpić, że to cząstka ciała i krwi naszej. Biada tym, którzy siądą z nimi razem do stołu, nie przeciąwszy obrusa.

A jednak excelsior! — Na tle tem szarem, tem barwniej i promienniej odbijają postacie innych, którzy naukową stronę godności obywatela almae matris połączyć umieją ze swobodą myśli i czynu, którzy, widząc zwrócone ku sobie tysiące oczu i serc społeczeństwa, nie zapominają, że kiedyś stać mają się pijonjerami przez ciemności do światła, przez ucisk do swobody. Cześć im, tym młodym rycerzom ze stali, którzy walcząc o chleb powszedni dla siebie, nie zapominają, że przyjdzie im kiedyś łamać kopje za tych, którzy sami w szranki bojowe wstąpić nie mogą....

Niechaj mnie tylko źle nie rozumieją młodzi. Ja nie chcę filistrów i molów książkowych, ja kocham twarze wesołe, porywy wiosenne i entuzyazm młodości.

Kiedy nadarzy się okoliczność jak n. p. obchód narodowy — natenczas czoło każdego promienić powinno stygmatem namaszczenia, nie zaś ślnić zachwytem bachanckim spodziewanej „fidulitas.“ — Trafne spostrzeżenia czyni w tej mierze korespondent I. I. z Berlina w sprawozdaniu z ostatniej uroczystości 3 Maja. — Piękna symfonia, podnosząca ducha i serce kończy się zazwyczaj finałem swawolnego scherzando owej fidelitas; wszystko dobrze, byleby ono przebrzmiało w czterech ścianach, a nie rozbrzmiało w tłumnym pochodzie gęsim po ulicach.

Nacóż nam owa sztuczna serdeczność, trwająca tak długo, póki szum w głowie Precz więc z ową pokusą nie w porę — to abusus fidulitatis. Któż każe wam brnąć dalej na tej drodze nie legalnej, sankcyonując zwyczaj taki?

Porywy nasze powinny być szczersze, — nie jak fajerwerki, co to błysną i w jednej chwili w popiół się rozsypią. Natomiast w głębi duszy naszej tlić powinien ów wieczny znicz święty zapału, który w danej chwili — jasnym wybucha płomieniem.

Bodajby głos ten nie przebrzmiał wśród puszczy — bodajby każdy zechciał spojrzeć w siebie — a potem oczy zwróciwszy do świtu — pamiętał, by nie był;

„ . . . . . jak w grobie
Martwe kościska,
Z daleka od słońca, co błyska
I płonie.“

Alastor.



LISTY Z WYSTAWY

II.

Chcąc dać przybliżony obraz ruchu, jaki dotychczas już spowodowała w kraju wystawa, trzebaby stworzyć całe biuro statystyczne o wielu sekcyach. Długi szereg pielgrzymek rozpoczął się, jak wiemy, wizytą arcyksięcia; potem gościł park stryjski coraz to nową grupę przybyszów — posłów do rady państwa, przemysłowców dolno-austryackich, wielki tłum galicyjskiego obywatelstwa i handlarzy bydła, sokołów i t. d. Po każdej z wycieczek tych została garść miłych dumie godziwej wspomnień. Dziś jeszcze trudno ocenić czy przyjemniejszą nam jest kurtuazya prezydenta izby Chlumetzky'ego, czy też objawy uznania ze strony — — Czechów. Prezydent Chlumetzky twierdzi, „że pokrzepił ducha i rozkoszował się, patrząc na pamiątki Polski“, „że kraj wykazał dwie wielkie zalety — konsekwencyę i wytrwałość w pracy kilkunastoletniej“ Czesi zaś, jakkolwiek w „Narodnich Listach“ ciągle nam grają na nosie, jednak robię bezustanku znaczne zakupy w produktach wystawowych: tak n. p. zakupili dużo okazów z wystawy bydła, o której głos powszechny woła, że się nadspodziewanie udała. Na ogół jest więc dobrze: dotąd pominąwszy drobne plamki i omyłki, żadnego innego skandalu nie mieliśmy — o ile zresztą nie uważać za skandal okropnej 40-dniówki deszczu. Na to jednak sam pan Marchwicki poradzić nie mógł. Mimo bardzo niepomyślnych warunków pogody zacny Lwów i poczciwa Galicya bez przerwy tłumem zalega wystawę: w obecnej chwili liczba zwiedzających przeniosła 200,000 — a wszak właściwie nie rozpoczął się jeszcze sezon prawdziwych zjazdów i wędrówek krajowych. Ażeby wam dać przedsmak tego, jak wobec wystawy zachowuje się ludność Galicyi, przytoczę parę ciekawych cyfr z jednego działu.

„Rada powiatowa w Chrzanowie uchwaliła kredyt 700 złr. aby umożliwić zwiedzenia wystawy delegacyom włościańskim i nauczycielom szkół ludowych“.

„Zarząd szkoły ludowej w Krzeszowicach wysyła najlepszych uczniów na wystawę“.

„Wczoraj zwiedziło wystawę kilkaset dziatwy i nauczycieli Bukowińskich“.

„Buczacka rada szkólna wysyła 6 nauczycieli i nauczycielek celem przyjęcia udziału w zjeździe pedagogicznym i obejrzenia wystawy“.

„Wycieczka młodzieży z Sanockiego ma objąć wszystkie szkoły ludowe powiatu oraz uczniów gimnazyum i szkoły przemysłowej.“

„G a z e t a K o ł o m y j s k a organizuje tanią wycieczkę dla młodzieży rzemieślniczej“

„1 Lipca na wystawie naszej było dziwnie gwarno i serdecznie. Lwowianie z niekłamanym entuzyazmem przyjmowali 6711 dziatwy z 52 gmin powiatu krakowskiego. Miasto całe zajęło się oprowadzeniem i zabawieniem miłych gości“ i t. d. i t. d. Wybrałem tych kilka cytat na chybił trafił z „Kuryera Lwowskiego“ na dowód jak w całej Galicyi wre od przygotowań i radosnej nadziei wypraw na wystawę. Tak bradzo lubimy porównywać swoje dorobki z pracą Czechów. Otóż jeżeli nie osłabnie zapał, to my tutaj w tej biednej Galicyi dokażemy tego cudu, co bogate Czechy — zapoznamy dziatwę całą z wystawą i krajem. Tem bardziej, że można przypuszczać, iż zjazd pedagogiczny (liczba uczestników 949!) obmyśli jeszcze powszechniejsze sposoby i środki w tym celu.

Z kolei nastręcza się pytanie, w jakim stosunku do wystawy stanęła produkująca część kraju, czy wyrażając się językiem pism galicyjskich, jak „ją obesłano“? Wystawa obejmuje dziś 28 sekcyi o 33 grupach razem. Katalog wystawy (jeszcze bardzo niekompletny) zawiera 2000 numerów wystawowych, plac zaś wystawy mieści je w 129 pawilonach i w licznych kombinacyach pod gołem niebem.

Numer katalogu zawiera często całą kolekcyą przedmiotów i odpowiada mniej więcej osobie jednego wystawcy. Możemy więc z tego w przybliżeniu wyciągnąć wnioski w kwestyi nas obchodzącej. Nie mówiąc już o obszarze i bardzo obfitej treści całej wystawy — wejdźmy n. p. do takiego pałacu przemysłu. Pawilon ten mieści grupy 8, 10, 11, 12, 13; 14, 15, 16, 17, 18, 20, 24, 27, 28, 32, o liczbie numerów górą 500 — jest to olbrzymi bazar kiosków i gabinetów w kilkunastu salach, a spotykamy tu nieomal wszystkie poważniejsze handle Galicyi.

Znacznym jest również udział Węgrów, Czechów i Niemców. Najmniej naturalnie można spotkać wystawców z Królestwa. Tak bardzo przywykliśmy zwalać wszystko na warunki, że i tu nastręcza się oskarżenie rządu moskiewskiego. — Dla czegoż jednak bez mała setną część wystawców stanowią mieszkańcy Kongresówki? Sąż to ofiarnicy, którzy za straszne przestępstwo Sybir ryzykują? Bynajmniej, są to tylko dobrzy handlarze, którym bezmyślny strach nie ogłupił mózgu i nie zakrył oczu na korzyść wystawy.

Pozostaje więc W. Ks. Poznańskie, które umyślnie umieszczam przy końcu, gdyż udział jego może was najbardziej interesować.

Otóż ogólna liczba wystawców z Poznańskiego nie imponuje niestety liczbą. Wobec wzrastającego rozwoju i pomyślności mieszczaństwa i włościaństwa poznańskiego moglibyśmy się spodziewać znacznie więcej. Są nawet rzeczy wprost brzydkie: oto n. p. jeden z banków d o t y c h c z a s (4 lipca) jeszcze nie rozlokował się w swym pawilonie; oto spółki zarobkowe i gospodarze, które chwalą się 20 milionowym obrotem i liczbą 30,000 członków, nie znalazły widocznie pieniędzy i ludzi na wydanie porządnej broszury informacyjnej o sobie — gorzej nawet, bo nie zdobyły się na uporządkowanie przysłanych na wystawę tablic graficznych!...

Prawdziwie wstydzić się będą Wielkopolanie, porównując ten dział własny z odpowiednim działem galicyjskim.

Co się tyczy prywatnych wystawców — to niektórzy już zdobyli sobie tutaj uznanie (o czem później). Stanęły zaś do apelu firmy Kasprowicza z Gniezna, hr. Bnińskiej z Dąbek, Edmunda Neymana ze Śremu, Urbanowiczów z Wrześni, Bendlewicza z Pleszewa, Wojciechowskiego, Mazurkiewicza z Poznania, Lewandowskiego z Gniezna, Dr. Koszutskiego, fabryka cukru z Wronek. Cegielskiego wspaniałe narzędzia rólnicze i pawilon mleczarski, Urbanowskiego maszyny znakomite i t. d. Wy sami lepiej osądzicie, czy ks. Poznańskie zrobiło tyle ile zrobić było powinno?

Co się tyczy Śląska i Polaków z Ameryki (własny pawilon) — to o nich pomówimy później. Nawet Kaszubi nie zapomnieli o wystawie, a jedni z pierwszych przysłali pozdrowienie w dniach otwarcia...

* *

W następnych listach przejdę do poszczególnych działów i kwestyi z wystawą związanych. Dziś, kładąc kropkę nad ogólnym rzutem oka podaję parę cyfr mogących się przydać jadącym na wystawę. Przypuszczam, że ktoś mniej zasobny stanął w Krakowie i ztąd udaje się na wystawę. Otóż bilet III klasy specyalny tam i napowrót, ważny dla pociągu, wychodzącego z Krakowa 9,45 wieczór w s o b o t ę kosztuje 3 złr. 98 centów. Za tym biletem można powrócić w ciągu 5-ciu dni, jakimkolwiek pociągiem osobowym. We Lwowie na stacyi kolei należy udać się do specyalnych delegatów kwaterunkowego działu wystawy. Hotele wystawowe w dogodnych punktach ulokowane biorą od 1 złr. za pokój na dobę. Koszta zwiedzenia jednodniowego wynoszą: wstęp 50 cent. przed i 35 cent. po południu, pawilon racławicki 50 cent., pawilon sztuk pięknych i Matejki 30 centów — reszta pawilonów bezpłatnie. Wracać za tanim biletem specyalnym można najpóźniej w e Ś r o d ę. Dla wszelkich wycieczek zbiorowych ulgi są znaczne — zależy to już od charakteru wycieczki.

Przypominam wreszcie: że wystawy okresowe, mogące interesować specyalistów odbędą się jak następuje:

1. Sadownictwo i ogrodownictwo: od 20 czerwca do 5 lipca; od 1 do 10 sierpnia: od 25 sierpnia do 10 września: od 25 do 30 września.
2. Wystawa psów od 21 do 23 września.

3. Wystawa ptactwa domowego od 27 do 30 września.

4. Wystawa okresowa płodów rólniczych od 20 sierpnia do końca września.

Wszelkie katalogi i przewodniki po Lwowie, Galicyi i Wystawie są do nabycia w pawilonie literackim. *Antoni Potocki.*

KRONIKA LONDYŃSKA.

2go lipca.

(Termometr sezonowy i wynik karnawału. Derby. Koński wpływ na stanowisko gabinetu. Kroniczka artystyczna: Sara Bernhardt, Reszkowie, Melba. Jakie świadectwo wystawiła kobieta — nowej kobiecie? — Z galeryi wojowniczych umysłów: Jerzy Moore. Jak reklamować książki?)

Sezon ma swój termometr podlegający arcysubtelnym waryacyom. Gdy książęta się żenią, lordowie et tutti quanti mają sobie za obowiązek popuszczać pasa, gdy zaś książe ma przyjść na świat, sezon przybiera minę namarszczono-dyskretno-wyczekującą. W roku zeszłym ślub jedynaka następcy tronu — księcia Yorku z córką księcia Teck był magicznym motorem świetnych zabaw, którym nie było końca. W bieżącym zaś zielonym karnawale arystokracya ściągnęła kiesy, tak bardzo zdała się absorbowaną pytaniem, ażali wyniknie z tego król angielski i cesarz Indyi. Jakoż w dniu 23go czerwca w White Lodge, siedzibie księcia Teck w Richmondzie, przedmieściu stolicy, zakrzyknęło poraz pierwszy na świat Boży dziecko-książe. Aczkolwiek wszelki naród cieszy się tym ewenementem, nie wiadomo dotąd jak nazywa się nowy obywatel. Zanim otrzyma nazwisko i dosłuży się w kołysce wojskowej szarży, dostał od prababci — wózik. Niewiasta tedy nie tak prędko znowu zasiędzie na królewskim stolcu.

Obecność księcia wpłynie niezawodnie podniecająco na puls karnawałowy. Nie znaczy to atoli, aby dotychczasowy przebieg sezonu — o ile słowo to identyfikuje się z przyjęciami, balami lub gardenparties — pozostał bardzo w tyle po za innemi i nie był najświetniejszym z najwspanialszych w Europie. Jest bowiem faktem, łatwo stwierdzić się dającym, że żadne centrum cywilizacyi nie może na tym punkcie rywalizować z starożytnym Rzymem dziewiętnastego wieku. Nawet Paryż — starożytne Ateny — traci przez porównanie. Stąd t. z. towarzystwo angielskie, par excellence arystokratyczne, ściąga nad Tamizę corok więcej kontynentalnej plutokracyi i utytułowanych obywateli całego świata, w których liczbie spotykam Radziwiłłów i Branickich.

Corocznie nieprzebrane tłumy wylegają z Londynu na pole pod Epsom na wyścigi. Wielkie „Derby“, to święto narodowe, w którem uczestniczą wszystkie stany związane wspólną żyłką hazardowania. Dzień ten obchodzi londyńczyk uroczyściej od urodzin królowej. Ale bo tu konie dochodzą do sławy, której pozazdrościł by im Shakespeare lub Shelley i są ludzie, którzy genealogie biegunów znają lepiej od ortografii i bajeczne iście składają dowody pamięci i erudycyi na tej szlachetnej niwie.

Nie tyle ze względu na czworo — co dwunożne zwierzęta wyścigi są nadzwyczaj ciekawe. Tłuszcza ta z uwagą wytężoną na barwne żakiety dżokejskie lub skórzane torby book-makerów — to Anglia. Możesz tu robić lepiej jak gdziebądź studya nad naturą ludzką, a w szczególności nad wychodzącym z swej codziennej skorupy — John Bull'em. To co się dzieje na torze mniej jest zabawne. Jeźli bowiem nie patrzysz na ten obraz okiem malarza lecz sportsmena i wiedzieć pragniesz, który z biegunów ma tęższe nogi, ciekawość zaspakajają gazety kilka dni naprzód. Kto chciał, wiedział też w tym roku, że palmę zwycięztwa i głupie sześć tysięcy f. szt. wyniesie Ladas, ogier nieznanych mi niestety protoplastów, z stadniny hrabiego Rosebery'ego. O polityce redaktor mi pisać zabronił, ale poczuwam się do powinności powtórzenia pewnego „on dit“, które nie jest tak głupiem jak się wydaje. Otóż podobno czworonożny bohater niósł na swym grzbiecie prócz lekkiego jeźdźca ciężkie losy obecnego gabinetu i sfer liberalnych. Od jego zwycięztwa zawisły losy przyszłych wyborów. Sukces w turnieju narodowym rzuca jeden promień więcej na osobę hrabiego — radykała. Wierzymy tu zresztą, że nic nie ma większego powodzenia nad — powodzenie. Ale jak głosować będą radykalni, którzy nie ufając Ladas'owi przegrali w totalizatorze? Z pewnością jako ludzie zwalą winę za to — na ministra. Zaiste trudna to i głęboka kwestya społeczno-filozoficzna. Wlazłem w matnię i czmycham, pozostawiając tę łamigłówkę do rozwałkowania i rozwiązania urzędowym politykom...

W mieście, które ma czem płacić, sezon artystyczny jest jedną cudowną mozajką uciech duchowych. Co gdziekolwiek wylęgła Europa w ciągu roku, przepływa kanał, aby odebrać bierzmowanie i zapłatę. W miejsce Eleonory Duse mamy dwie obce aktorki. Mlle Réjane z szykiem z włoskiego bulwaru i — la Vilette odtwarza Mme. Sans Gêne, sztukę Sardou, która nie schodzi z afisza paryskiego Vaudeville'u. Sara, która odwiedza nas co dwa lata, przywiozła nowość p. t.: Izeyl, dramat A. Silvestre. Ostatniemi laty poszła ona w służbę impressariów, ktorzy wycisnęli z niej artyzm i zrobili z niej automatyczną maszynę, która za włożeniem w nią srebrnej monety — wydaje z siebie sceniczne efekty. Pozostały tylko pozory artyzmu i przecudowny głos, którym wyśpiewuje więcej niż ma do śpiewania. Wogóle odstręczało mnie zawsze w Sarze „un je ne sais quoi“ — ulicznicy. Sign. Duse zarzucano, że jej Dama Kameliowa nie zdradza swej przeszłości. Tego zarzutu francuskiej aktorce nikt chyba nie zrobi, bo gra jej każe się domyślać jej własnej przeszłości nawet. Odcienie zmysłowości i namiętności mają w niej niezrównaną tłomaczkę, lecz o ileż szlachetniejszą jest włoska aktorka? Gra tejże zrobiła na Sarze niezmierne wrażenie i porobiła w odtworzeniu wyżej wspomnianej roli znaczne zmiany i ulepszenia. Różnica pomiędzy temi artystkami polega na tem, że patrząc na Sarę mówisz, jak ona wybornie gra! — patrząc zaś na Eleonorę, nic nie powiesz o grze, bo wszystko ci się rzeczywistością wyda i z zachwytu zapominasz języka.

Prócz niemieckiej opery Wagnerowskiej mamy operę włoską, która nie mniej jak pięć wystawiła dotąd nowości: L'attaque du moulin (Zola-Burneau), Signa (Coven), La Navarraise i Werther (Massenet) i Falstaff (Verdi), o których, jako niekompetentny, nic wyraźnego powiedzieć nie mogę. Słówko tylko o rodakach. W ostatnich latach zauważono powszechnie, że Jan Reszke uronił dużo z swego głosu. Tymczasem w tym roku śpiewa piękniej niż kiedykolwiek. Mówiąc lakonicznie, a bez przesady — polski tenor jest niezrównanym. Mniejsza z tem, że tusza Werthera nie licuje z jego sentymentalnością, kiedy płeć piękna znajduje go „fascinating“ — czarującym. Edward Reszke zawsze ten sam mistrz. Jego Mefistofe'es (Boito) jest najszczytniejszą kreacyą. Primadona Mme Melba, która z panią Calvé dzieli wawrzyny, zrobiła jak J. R. ogromne postępy. Gra jej szwankowała dawniej mocno, lecz obecnie ani śladu sztywności, a słowiczy jej organ nabrał niebywałej pełni. Tak Julią śpiewać musiała dawna Patti, takiego Romea zaś jak Jan Reszke wogóle nie było. Z tych kilku próbek — wniosek, że w operze muzyka święci swe święta.

Czem dalej pcham się w życie wodząc objektywnem okiem po jego „wyżynach i nizinach“ — jak mówi Anglik, zda mi się, że twierdzenie Bóg wie skąd powstałe, które à force de forger stało się dogmatem, jakoby kobieta była zdolniejszą od mężczyzny do szczerej i bezinteresownej miłości — jest fałszem. Nie myślę tu — o nie! — roztrząsać tej akademicko-buduarowej kwestyi, ani wywlekać mych spostrzeżeń i rozumowań, już dla tego, bo wytoczyłbym armaty do syzyfowego boju, który zawsze wrzeć będzie pomiędzy kłócącemi się, a kochającemi obozami w miarę potrzeb.... sercowych, wybujałości umysłu i wrażliwości nerwów. Z skruchą tylko wyznam, że z niemałą satysfakcyą czytałem w Północno Amerykańskim Magazynie cięty artykuł Ouidy, w którym autorka Sabotek wymyśla swej płci — „nowej kobiecie“ (Nev Woman) od niesprawiedliwych, egoistek i t. d. Mówiłem sobie: a to im dała! i zacierałem ręce z radością, jaką odczuwa hreczkosiej na widok gradem zbitych łanów u swego sąsiada, z którym od wiek wieków procesował się o miedzę. Ponieważ wszakże według przyjętego zwyczaju obgaduje się tylko za oczy, więc czytelniczki wszystkie wliczam do kobiet starej daty, który to fortel zapewne poczytają one Nabody'emu za cechę dobrego wychowania. W sprawie tej czytamy: „kobieta może czasem jest podporą mężczyzny ale z pewnością wiele częściej hamulcem. Ceni ona siebie nadzwyczajnie wysoko, posiadając bardzo małą znajomość własnego ja.“ I dalej: „Błąd kobiety naszej ery polega na mówieniu o kobietach jako ofiarach mężczyzn, a zupełnem ignorowaniu tego jak często mężczyźni padają ofiarą kobiet. W dziewięciu wypadkach na dziesięć pierwszym kusicielem młodzieży do złego jest kobieta. W dziewięciu na dziesięć kobieta upada, bo tak sama chciała i z góry uplanowała.“ Do tego dorzuciwszy aforyzm z romansu „Puck,“ będziemy mieli wytyczne punkty wesołego zaświadczenia:

„Pobudką kierującą mężczyznami mogą być tysiączne rzeczy: ich imaginacya, uczucia, rycerskość, ekscentryczność, inteligencya, percepcya — cobądź. Kobieta natomiast kieruje się jedynym jedynym tylko względem — swym własnym interesem.“ Gdybym był moralistą zawołałbym głosem wielkim: Popraw się płci piękna, bo jeżeli nie, to . . . . to i tak, za karę, cię kochać będziemy mając na względzie — fabrykantów pantofli.

Przyszło do głowy pewnemu właścicielowi wypożyczalni książek przeczytać świeżo wydaną powieść. Wygląda to tak jakby rzeźnik złakomił się na mięso przeznaczone na sprzedaż, co czyniąc z reguły nie upasł by się tak jak tego wymaga interes. Przeczytał, podobała mu się i — wyklął ją, nie wciągając w katalog, aby nie dostała się w ręce virginibus puerisque. Publiczność atoli bynajmniej nie zwykła dać sobie pluć w kaszę i przyglądać się z założonemi rękoma uzurpowaniu jakichbądź praw. W gazetach zrobiła się wrzawa. Założono protest przeciw wyskokom niepowołanego cenzora moralności publicznej i zawsze zwycięska tu opinia publiczna sprawę wygrała, troskliwego zaś o siebie księgarza bojkotuje. Autor rzekł na to reporterowi: jestem gotów przedłożyć mą powieść przed jakimbądź trybunałem. Krytyka chwali ją gremialnie i nic wszetecznego ani wstrętnego nie dopatrzył się tam nikt z wyjątkiem pana Smith'a, któremu za tę reklamę nie jestem obowiązany bom jej nie szukał.“ Filut — powiecie. Nie byłby Anglikiem, gdyby nie wiedział, że nieba cznie rzucony nań kamień przysparza mu mnóstwo pieniędzy. Że publiczność bowiem rzuciła się hurmem na „Esther Waters“ — zbytecznie dodawać. Być może, że filut. Nadmienić atoli należy, że p. Jerzy Moore zalicza się do falangi wojowniczych umysłów, którzy uzbroiwszy się w prawdę jak prostaczek w kosę, walą śmiało na armaty, kędy wiedzie przekonanie. W powieści jego — wiernym społeczeństwa obrazie, nie dostrzeże żadne zdrowe oko nic zdrożnego, chyba, że jest zasłonięte nieuleczalną kataraktą zatwardziałego uprzedzenia, lecz jest szczypta za wiele prawdy dla tak wątłych organizmów jak pana Smith'a. Ludzie wogóle nie lubią spoglądać w zbyt dokładne zwierciadła i przenoszą schlebiające. Są nawet społeczeństwa, które boją się więcej prawdy jak djabeł święconej wody. Jednakże oddać trzeba sprawiedliwość wielkiemu narodowi angielskiemu, że chociaż nie raz się kurczy pod batogiem, krzyczy i wierzga — słucha i rozumuje po chwili spokojnie, jakby miłości własnej razy nie raniły, zawsze gotowe nauczyć czegoś i poprawić. Natura bowiem obdarzyła go jednym mianowicie nieocenionej wartości skarbem, który rozwiąże nam wiele zagadek w prostocie swej tajemniczego i pełnego pozornych sprzeczności człowieka — metafizycznym instynktem, czyli owczarskim rozumem, który bez wielkiego wysiłku jaźni pozwala mu rozpoznać właściwą drogę. Chodzi tylko o to, aby

prysły uprzedzeń i miłości własnej okowy. Naturalnie idea nie powinna być pstrokatą skórą okrywającą miernotę lub karyerowicza, jakich spotkać można z drugiej strony kanału. Na plewy wziąść się nie dają w Anglii. Hasło musi być ujętem w dłoń rzetelną, a głoszone przez — prawdziwy talent, który nie chwieje się, lecz jasno mówi czego pragnie, przekonywa i porywa. Można też powiedzieć z całą stanowczością, że takie wojownicze umysły zawsze, prędzej czy później, zwyciężają, zdobywają uznanie i fortuny. Takiej miary człowiekiem i pisarzem jest — Jerzy Moore. Znały go dotąd i wielbiły w głębi serc koła postępowo-katolickie i artystyczne. Inne albo nie znały, albo tyłem się zwracały do w cieniu pogrążonego. J. M. pisywał krytyki o sztuce plastycznej, w których oddawał sprawiedliwość znakomitym impresyonistom np. takiemu Degas i ciskał słowa prawdy akademii sztuk pięknych; pisywał utwory dramatyczne, szukając nowych form sztuki, które skutkiem tego znajdowały tylko przytułek w teatrze „Niezależnym,“ a wszystko, co wyszło z pod jego pracowitego pióra, nosi cechy bezsprzecznego talentu i samoistnego umysłu. Jako powieściopisarz przypomina Sienkiewicza. Pan Smith. który był ślepym wykonawcą nieubłaganej konieczności, odkrył Jerzego Moora, wyniosł na piedestal i dziś wznosi się ogólny hymn pochwalny. Estera jest zbyt ładną, aby zbyć ją kronikarskim frazesem, więc rozprawię się z nią po sezonie, poprzestając tymczasem na zaostrzeniu wam apetytu.

Nobody.

KRONIKA PARYZKA.

2 lipca.

(Pogrzeb Carnota.)

Wczoraj, t. j. właśnie tydzień po śmierci Prezydenta, niezliczone tłumy odprowadziły resztki jego na miejsce ostatniego spoczynku — do Panteonu. Tydzień ten ubiegły zapisze się z pewnością pamiętnemi głoskami na kartach historyi Francyi. Patrząc bezstronnie, jako prosty widz na postępowanie ludności tak szczere i niewymowne, a przytem tak nacechowane godnością i zrozumieniem ważności chwili, przyznać trzeba, że to jednak wielki naród ci Francuzi!

Zaraz w poniedziałek, a więc nazajutrz zbrodni, cały Paryż przystroił się mnóstwem chorągwi z kokardami krepowemi, lub też całkowicie w krepę zawiniętemi; na wszystkich ulicach widziałeś zgraje sprzedawaczy, ofiarujące przechodniom fotografie i biografie zmarłego, lub kokardy narodowe z krepową przepaską: „le deuil national“. W niespełna trzy dni po wypadku uliczni minstrele gromadzili koło siebie tłumy, śpiewając ad hoc skomponowaną piosenkę na cześć zmarłego prezydenta, zakończoną, o dziwo! słowami telegramu cesarza Wilhelma do pani Carnot: „Il es mort comme un soldat sur le champ d'honneur.“ Nie próbowałem zupełnie dostać się do Chapelle ardente, pałacu Elizejskiego — znaczyło to stać przez trzy lub więcej godzin, czekając kolei, w niepewności, czy ta kolej wogóle kiedykolwiek nadejdzie. Przeszło 100,000 osób odważniejszych odemnie przedefilowało przed katafalkiem, zarzucając go literalnie kwiatami — po większej części temi wzruszającemi bukiecikami à deux sous, świadczącemi o serdecznej myśli bardzo biednych, których nie stać na orchidee i palmowe gałęzie. One też podobno najwięcej przemówiły do złamanego serca biednej wdowy; kazała je wszystkie zbierać i umieszczać w sąsiednim salonie.

We wtorek wieczór, t. j. w wigilią wyboru nowego Prezydenta, wielkie bulwary i poboczne ulice roiły się wprost od tłumów. Spokój panował zupełny, gdy nagle rozeszła się mylna wiadomość, że ambasador francuzki w Rzymie zamordowany. Wystarczało widzieć te zapłomienione twarze, oczekujące przed salami depesz potwierdzenia lub zaprzeczenia wiadomości, by mieć przedsmak wojny: „Ça sue la guerre“ słyszałem niejednokrotnie. — Wiadomość o morderstwie ambasadora wyszła z redakcyi Intransigeant, znanego organu Rochefort'a. Rozsądniejsza część publiczności, podejrzywując niewprawdziwość rozsiewanych pogłosek, sama, bez pomocy policyi zniszczyła rozdawane gazety i nawet roznosicieli gazet poturbowała trochę. Wkrótce w salach depesz ukazały się solenne zaprzeczenia wiadomości i wszystko do dawnego wróciło spokoju. Prócz tej jednej chwili paniki i wzburzenia, żadna manifestacya nie zakłóciła porządku ulicznego. Z ciekawością przypatrywano się wystawionym w oknach magazynów wieńcom — których liczba doszła do przeszło 2 tysięcy, a suma przeniosła liczbę miliona franków. Sam wieniec dziewic francuzkich kosztował 4 tysiące franków: wieniec od Rosyi 5 tysięcy franków i t. d. W końcu podobno nadzwyczajnemi pociągami kwiaty do Paryża sprowadzano.

Od tych wszystkich przygotowań do pogrzebu narodowego, od żalu nad zmarłym, uwaga Francyi zwróciła się na godzin kilkanaście ku czynnościom kongresowym. Burzliwe zebranie senatu i wymyślania na p. Challemel-Lacour za to, że kongresu natychmiast po śmierci Carnota nie zwołał, budziły trwożne przeczucia. Tymczasem za pierwszym tour du scrutin, otrzymał — jak wam już wiadomo — p. Casimir-Perrier 450 głosów, a więc stanowczą większość. Około godz. 5 wiedziała już ludność Paryża, że nowy Prezydent obrany. Zadowolenie z rezultatu wyborów było zupełne, i, można śmiało powiedzieć, ogólne. Casimir-Perrier cieszył się zawsze sympatyą Paryża, a Paryż, to przecież serce kraju. Nieposzlakowana uczciwość nowego Prezydenta, a przytem jego znana energia i sprężystość dają rękojmię spokoju na wewnątrz i zewnątrz kraju. Przez całą drogę z Wersalu do Paryża, Prezydent witany był szczeremi okrzykami sympatyi i zadowolenia. — Nie podlega wątpliwości, że „malowanym“ prezydentem p. Casimir-Perrier nie będzie; kto wie nawet, czy mu ta jego czynna, energiczna natura, nie sprowadzi wielu kłopotów i goryczy na tem tak zaszczytnem, ale tak strasznie przez konstytucyę ograniczonem stanowisku!

Z soboty na niedzielę ruchliwa wiecznie fizyonomia miasta znowu nowego nabrała charakteru. Dziesiątki tysięcy ludzi rozlokowało się pod gołem niebem, na drzewach, na wystających gzymsach gmachów, na statuach, gdzie kto wreszcie mógł — by tylko mieć nazajutrz miejsce zapewnione i nic z widoku pochodu nie stracić. O spaniu, w tak niewygodnych pozycyach mowy być nie mogło. Z wschodem słońca coraz to nowe tłumy szukały miejsc jakichkolwiek — hamaki zawisły wśród drzew pól Elizejskich, drabiny, których szczeble wynajmowano po 10 fr., zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu. Wolna połowa placu de la Concorde zapełniła się wozami i estradami przenośnemi — na których miejsca dochodziły do 20 i 30 franków. Nie było jednego okna, balkonu, miejsca na dachu, któreby za wagę złota nie było wynajęte. Niektóre balkony doszły do cen 5 do 6 tysięcy. Jeden z hoteli na Rue de Rivoli wynajął wszystkie okna za cenę — jak mówią — 50,000 franków. Do jakiego stopnia posuniętą była ciekawość, świadczy następujący fakt: Korzystając z dobrego położenia fontanny placu świętego Michała, całe grono ludzkie uwiesiło się na figurach i ozdobach fontanny; mimo nawoływań policyi zdobytego miejsca nikt opuścić nie myślał. Policya otworzyła wodotryski — i to nie pomogło. Stojąc po kolana w wodzie, w strumieniach rzęsistego deszczu, wytrwali jednak zdobywcy fontanny aż do końca na stanowisku.

O pół do 10 pierwszy strzał wiekowej armaty Inwalidów oznajmił, że wspaniały kondukt wyruszył i zwłoki prezydenta opuszczają pałac Elizejski. — Widziałem fotografie zdjęte w czasie pogrzebu Gambetty i Wiktora Hugo, widziałem naocznie narodowy pogrzeb Ferry'ego, ale z nich żaden nie dorównał wczorajszej uroczystości. — Od pałacu Prezydentury do Notre-Dame, a dalej do Panteonu, miasto robiło wrażenie jednej wielkiej żałobnej kaplicy. Palące się latarnie, szczelnie krepą przysłonięte, dziwnie grobowe wywierały wrażenie. Głuchy odgłos bębnów krepą przewiązanych i marszów żałobnych — przejmował aż do szpiku kości. Wreszcie 10 tysięcy wojska, deputacye, wozy z wieńcami, reprezentacye mocarstw zagranicznych, a na czele senatu i ministrów nowy prezydent, z odkrytą głową, imponujący to wszystko przedstawiało widok, niezatarte w pamięci zostawiając wrażenie. Równie imponującym było nabożeństwo w Notre-Dame, celebrowane w obecności Arcybiskupa Richard i nuncyusza papiezkiego. Jednę z najwspanialszych ceremonii pogrzebu stanowiła bezwarunkowo defilada wojska przed wystawioną na stopniach Panteonu trumną. Jakiej trzeba było siły woli by od godziny 9-ej z rana do 4 po południu wytrzymać pod piekącemi promieniami słońca — mógłby coś o tem powiedzieć komendant miasta, generał Saussier, starzec schorowany, który na czele wojska, aż do końca prowadził kondukt.

Dziwny widok przedstawiało miasto wieczorem. O godzinie 8-ej przejeżdżałem, odwożąc znajomego na dworzec, raz jeszcze przez ulice, któremi przechodził kondukt. Flagi, krepowe kokardy, czarne sukna, zdobiące domy — wszystko to wyglądało jak śniegiem pokryte. — To kurz, to piasek, wydobywający się z pod nóg tłumów tak zmienił żałobne kolory.

W czasie pogrzebu wypadków smutnych nie brakło. Straż sanitarna świetnie spełniła swój obowiązek — otaczając w tej chwili zemdlonych i pokaleczonych energiczną opieką. Wskutek słońca niemiłosiernego pomiędzy wojskiem zdarzyło się kilkanaście wypadków porażenia; ciężkie kaski rozpalone, gniotły czoło i przytomność odbierały.

Dziś znowu Paryż powraca do dawnego życia lekkomyślnego i wesela powraca także do przerwanej pracy i interesów zawieszonych. Oddawszy cześć należną zmarłemu, oczy wszyscy w przyszłość teraz zwracają z wielką nadzieją i z wielką otuchą, że z nikąd burza nie zagraża. — Pokoju nieprzerwanego wszyscy pragną, — a postępowanie sąsiednich mocarstw w obec Francyi w ostatnim tygodniu, uwolnienie zwłaszcza więźniów francuzkich przez cesarza niemieckiego, to wszystko zdaje się zapowiadać, że upragnionego pokoju nic nie zamąci.

A. Y.

NA WYŁOMIE.

(Wojna w „Wielkopolaninie.“ Nowa redakcya. Chirurg — dziennikarz. Odprawa.)

Od czasów hałaśliwej kampanji ks. Jeżewskiego rozpostarł anioł ciszy skrzydła swoje nad redakcyą „Wielkopolanina“. Maleńki zmrużył oczęta i snem sprawiedliwych zasypiał. Nagle... bum! Rada nadzorcza wypowiada miejsce wszystkim redaktorom. Pierwsza armata zagrała, — rozpoczyna się z obu stron podziemne minowanie, marsze i kontrmarsze, raz po raz grzechot karabinów. Bum! Walne zebranie udziałowców przewraca uchwały rady nadzorczej i udziela wyraźne wotum zaufania starej redakcyi. To armaty przeciwników plunęły żelazem, a tak celnie były skierowane, że rada nadzorcza opuszcza plac boju. Bum! Znów grają działa, — odwrót okazuje się zasadzką. Nowa rada nadzorcza wywiesza sztandar poprzedników i zręcznym manewrem usuwa p. Bukowieckiego od steru, a p. Wegnera z redakcyi. Obaj cofają się z powagą, charakteryzując w otwartych listach taktykę wrogów. Zwycięzcy odpowiadają w zdobytym organie i pour la bonne bouche zarzucają starej redakcyi tylko — niedołęztwo. To się nazywa w Poznaniu wspaniałomyślnością albo kurtuazyą. Co kto woli!

Nie mam wcale zamiaru kruszyć kopji za redaktorskiem berłem pana Bukowieckiego, — przeciwnie ze stanowiska politycznego widziałem w „Wielkopolaninie“ hamulec ludowego rozwoju, — ze stanowiska technicznego raziła mnie senność, monotonność i jakieś ruchy ślimacze w tem najtańszem i najpoczytniejszem pisemku poznań-

skiem. Ale pomijając to zasadnicze stanowisko, zataić nie mogę, że rozegrała się przed nami komedya, która jest krzywdą wyrządzoną uczciwemu koledze i wykrzyknikiem w dziejach publicystyki polskiej.

Przedewszystkiem z góry oświadczam, że statuty akcyjnego przedsiębiorstwa: „Wielkopolanin“ nie określają jasno kompetencyi poszczególnych organów. Dla charakterystyki powiem tyle tylko, że nigdzie nie znalazłem wyjaśnienia, komu przysługuje prawo mianowania współpracowników, — czy naczelnemu redaktorowi, czy radzie nadzorczej, czy walnemu zebraniu?

Nieco jaśniej przedstawia się kwestya naczelnego kierownictwa. Statuty opiewają, że wprawdzie rada nadzorcza mianuje redaktora en chef, ale „najwyższą instancyą w wszystkich sprawach“ jest walne zebranie. W obec takiego określenia kompetencyi obu organów nie ulega chyba najmniejszej wątpliwości, że uchwała walnego zebrania jest Imperatywem, przed którym rada nadzorcza ukorzyć się musi. Nadzorczy tryumwirat jednak snać inaczej pojmował kompetencye swoje, bo na decyzyą walnego zebrania, aby naczelne pióro pozostawić w rękach p. Bukowieckiego, odpowiedział wzdrygnięciem ramion i zdegradowaniem redaktora en chef do rzędu współpracownika. Cóż na to akcyonaryusze? Czy wotum własne pozwolą zdeptać bezkarnie i kark swój ugną pokornie pod jarzmo narzuconego despotyzmu? Rada nadzorcza składa się z mężów, którzy w okresie niedawnej zawieruchy politycznej byli pierwszymi rycerzami „stronnictwa ładu i porządku.“ Nazwiska ich figurują pod odezwą, która jest apoteozą szacunku dla władzy, apologią parlamentaryzmu i surową krytyką teroryzmu mniejszości. A dziś? Dziś na wyrok „najwyższej instancyi“ odpowiadają mężowie „ładu i porządku“, że wyrok ten był tylko „życzeniem,“ (sic.) — dziś trójgłowy organizm rady nadzorczej urąga woli walnego zebrania. Oto wcielenie zasad poznańskich — Liebchen was willst du noch mehr?

Lecz nietylko z stanowiska legalności ciskam Radzie nadzorczej mój protest, — ciskam go równie silnie i dobitnie z stanowiska przyzwoitości towarzyskiej. Dostojny tryumwirat, wybrany w dniu 26 maja, nie raczył ani razu na jakąkolwiek konferencyę zaprosić naczelnego redaktora, żadnego porozumienia nie szukał, żadnej dyrektywy mu nie udzielił. Pod osłoną szczelnej tajemnicy ukuto spisek na p. Bukowieckiego i w dniu 29 czerwca przesłano mu w tonie podoficerskiej komendy zredagowany wyrok, w którym zażądano kategorycznie, aby „do dnia 1 lipca, godz. 12 w południe“ podpisał nowy kontrakt w charakterze współpracownika albo opuścił redakcyę „Wielkopolanina.“ Tak postępuje się z publicystami, którzy przez lat kilkanaście zajmowali wybitne stanowisko w społeczeństwie i na niwie dziennikarskiej niezręcznie może, ale uczciwie pracowali. „Najem“ redaktora równa się u nas najmowi stangreta lub lokaja. Dyskusya, wyjaśnienia, uprzejmość to zbytek drogocenny, na który nie stać nas biednych kresowców, — podpisuj redaktorze, albo bierz terminatkę! I nie myślcie czasem koledzy, że na pożegnanie ktoś wam rękę uściśnie, ktoś serdeczne słowo wymówi, — nie! rada nadzorcza dla usprawiedliwienia postępku swojego nazwie was publicznie — niedołęgami. Niech żyje salon poznański! Kepalni przedstawicieli gatunku „homo“ rumieniliby się za potomków swoich.

A gdy tak badawczem okiem rozglądam się po arenie bohaterskich zapasów i nasłuchuję dźwięków wojennych, jakaś szeptana, tajemnicza komenda dzwoni w uszach moich, jakaś ręka niewidzialna kieruje zręcznie sztabem oficerskim. Któż jesteś duchu potężny? Któż twoje imię wypowie?

Mówią w Poznaniu, że „Wielkopolanin“ nie dość energicznie popierał sprawę lojalizmu naszego, że w okresie bojów przedwyborczych tylko import ks. Jeżewskiego pchnął go na ślizgie tory polemiki z stronnictwem ludowem, że p. Bukowiecki bałwochwalczo nie uchylał głowy przed pewnem dyskretnem „sic volo sic iubeo“ — i dla tego musiał ustąpić. Słuchaj albo giń!

Zginął — a miejsce jego zajął p. Łebiński, bratanek współredaktora „Kuryera Poznańskiego.“ Nowy redaktor, z fachu agronom, nie jest bynajmniej nowicyuszem w zawodzie publicystycznym. Z głuchej prowincyi nadsyłał on niekiedy gawędy ekonomiczne do Kuryera i Dziennika Pozn., a rozprawki jego odznaczały się zawsze znajomością przedmiotu i staranną formą. To też ze zdziwieniem pewnem powitałem pierwsze dziecię nowego redaktora — wtorkowy numer Wielkopolanina. Zrazu zrozumieć nie mogłem, czemu człowiek rozsądny ogłosił urbi et orbi taki dziwoląg logiczny jak artykuł „Po wiecu katolickim“, — ale wnet przypomniałem sobie radę nadzorczą vis major — i wielką litością wezbrało serce moje: Biedny redaktor!

On nie porodził anomalii takiej, ale wyskrobał ją podobno z wnętrza swojego pewien chirurg poznański, a pan Łebiński chrzciny niemowlęciu wyprawił. Gdyby Darwin ujrzawszy niemowlę, zbadał czaszkę i mózg jego, rzuciłby w świat szeroki „Heureka“ grzmiące, bo oto znalazł się jakiś „missing link“ — nieznany łącznik typu zwierzęcego z najniższym pierwotniakiem ludzkiego species. To niemowlę — to krytyka prasy opozycyjnej. Boże wszechmocny! Jeżeli my wszyscy, którzy katechizmu politycznego Dziennika i Kuryera za dogmat nie uważamy, jesteśmy istotnie takiemi potworami jak chirurg poznański ludom opowiada, to deszcz ognisty spuść na głowy nasze, a prochy nasze rzuć na cztery wiatry. Płacz polski narodzie! Bo oto lekarz pewien dokonał polityczno-moralnej dyagnozy na dziennikarstwie poznańskiem i znalazł — ratunku! — „Gontę i Zeleźniaka, którzy księdza, szlachcica i żyda na jednej gałęzi wieszają“. A potem nagle zadrżał po raz wtóry.

Skalpel chirurgiczny odkrył młode chwasty, które bunt otwarty przeciw religii podniosły i grożą zatruciem młodzieży i kobietom. Więc zapłakało łzami krokodyla poczciwe „homo“ i nuże przeklinać młodzież rwącą się do steru, (Aha!) nuże apoteozować prawo wieku i doświadczenia, (Aha!) nuże straszyć czerwoną chustą socyalizmu — brrr!

Niczem piekło Dantego, niczem piekło Michała Amoła, — na nas spojrz ludu polski, a ujrzysz prawdziwych potępieńców. Jeżeli zaś tobie, zacny chirurgu, dotychczasowe „dyagnozy i operacye“ nie wypełniły złotem kalety, to racz nas wszystkich zamknąć w klatce żelaznej i wzorem amerykańskiego Barnuma obwozić po kraju jako „straszne okazy zgnilizny.“ Efekt kolosalny! kobiety mdleć będą, a trzos twój pęknie od natłoku złota. Nocą jednak, gdy cisza otoczy nasze klatki żelazne, stań na kazalnicy i powtarzaj piorunującym głosem finałowy ustęp artykułu swego. Słuchajcie potępieńcy! Oto mistrz wasz mówi: Z obecnego stanowiska naszego względem korony schodzić nam nie wolno.... Trzymamy się tronu, wierzymy w sprawiedliwość monarchy i w jego ojcowską dobroć, która nam krzywdy wyrządzić nie pozwoli“.

„Rozczuliłeś mnie chirurgu! Szkoda, że nie jestem cesarzem....

Tobie zaś, nowy redaktorze, radzę przy operacyach społecznych innych chirurgów cytować, bo tacy, machając nożem obłąkańców wzorem, zarzną przedewszystkiem Wielkopolanina.

* * *

Przypominają sobie zapewne czytelnicy feljetonów moich, że na tem miejscu napiętnowałem jednego z korespondentów Dziennika Pozn. który rzucił jakąś mglistą kalumnię na polskich studentów berlińskich i Sullę. Mówił on o „rozdzieleniu“ żelaznego funduszu „Bratniej pomocy“ między światoburczą młodzież stolicy niemieckiej i o Sulli, który, jako najlepiej poinformowany w tej kwestyi, powinien ją zdemaskować.

„Dziennik Poznański“ po kilku dniach całą sprawę wyjaśnił, ale nie raczył ani jednem słowem skarcić perfidyi korespondenta swojego. Ja sam więc dzisiaj ciskam oszczercy w twarz pogardę moją, a dla informacyi czytelników „Przeglądu“ komunikuję fakty następujące: W r. 1891 postanowili członkowie Towarzystwa naukowego na mocy legalnej uchwały ($^2/_3$ głosów) zamienić pewną część funduszu żelaznego „Bratniej pomocy“ na kapitał ruchomy, z którego płynąć miały zrazu bezprocentowe a później trzyprocentowe **pożyczki wekslowe** dla uboższych studentów.

O „rozdzieleniu“ zatem funduszu nigdy mowy nie było, a legalny przebieg sprawy charakteryzują dokładnie następujące wyjątki z protokółów, dostarczone łaskawie redakcyi „Przeglądu“ przez obecny Zarząd Towarzystwa Naukowego:

„Posiedzenie III dnia 21 listopada 1891.

Prezes Cz. Nawrocki.

W sprawie Bratniej pomocy kol. Thiel prosi, by się nie zgłaszano o zapomogi z powodu wyczerpania pozostającego do rozpożyczenia funduszu. Kol. Czechowski stawia piśmienny wniosek o zredukowanie funduszu żalaznego Bratniej Pomocy do 500 mk. Kol. Thiel żąda, by na zasadzie statutów odroczono rozstrzygnięcie tej kwestyi do następnego zebrania. Prezes oznajmia w tym celu, że następne zebranie ma być walne.

Posiedzenie IV dnia 15 grudnia 1891 (walne).

Prezes Cz. Nawrocki.

Pod dyskusyą przychodzi stawiony wniosek o zredukowanie funduszu żelaznego Bratniej Pomocy z 1273 mr. i 80 fen. na 500 mr. Wniosek zostaje przyjęty.“

Tyle dla wyjaśnienia sprawy. Jakiem mianem nazwać człowieka, który zarzuca postępowej młodzieży akademickiej nieuczciwość, a mnie tendencyjne maskowanie występku? Jakiem mianem nazwać pismo, które bez kontroli publikuje wieści, zniesławiające ludzi honoru i sumienia?!

Sulla.

Z UPOMINKU.*)

TARANTULA-TARANTELLA.

Z niezliczonej ilości tańców religijnych, rycerskich, towarzyskich i obrzędowych, jakie w ciągu wieków padały kolejno pod ciosami groźnej królowej mody, kilka zaledwie powszechnej zdołało ujść zagłady. Większa ich cząstka, własną wyrobiwszy sobie formę muzyczną, uzyskała tem samem prawo obywatelstwa w literaturze muzycznej, która pamięć o nich późnemu przekaże pokoleniu; mniejsza zaś (tańce charakterystyczne, narodowe) dotychczas żyje zarówno w literaturze muzycznej, jak i w powszechnem znajduje się użyciu.

Do rzędu tego rodzaju zabytków archeologii muzycznej należy i Tarantella, taniec ludowy włoski parzysty — pochodzenia neapolitańskiego — szczególniejszą posiadający historyą:

W XV w. rozgłośnej na całym półwyspie apenińskim dobiła się sławy dziwna choroba, zwana „tarantyzmem“, o której Nicoli Perotti (XV w.) w dziele „Cornu copiae“, a za nim wielu innych pisarzy włoskich, bliższe podają szczegóły. Według ich relacyi ukąszenie pająka ziemnego, zwanego tarantula (tarantula aranea) miało wywoływać objawy tarantyzmu, który dał się leczyć jedynie za pomocą specyalnej muzyki i tańca specyalnego. Człowiek ukąszony przez tarantelę mówił mało, tracił apetyt, sen i wesołość, stawał się ocię-

*) Dla poznajomienia czytelników naszych z treścią księgi zbiorowej, wydanej w r. 1893 na cześć Elizy Orzeszkowej p. t. „Upominek“, przytaczamy z wydawnictwa tego kilka cenniejszych drobiazgów.

żałym, melancholijnym i niezdolnym do pracy. W lecie, zwykle w czerwcu, gdy objawy tarantyzmu kolosalne już przybierały rozmiary, przywoływano grajków, lekarzy i opiece ich powierzano chorego. Grajkowie z namaszczeniem chwytali za bębny, lutnie, lub piszczele i osobliwą wygrywali melodyą, ochrzconą tytułem taranteli. Potęga tej melodyi, stanowiącej — jak powszechnie mniemano — jedyne „antidotum tarantulae“, była tak wielką, czy też tak ponętną, że nawet starcy na odgłos jej dźwięków ochoczo rzucali się wraz z chorymi i całą gromadą współmieszkańców, w wir szalonego tańca. Z początku tancerz (chory) nie przekraczał granic przyzwoitości, w końcu jednak pod wpływem paroksyzmu rzucał się w tańcu jak opętany, coraz szybciej, coraz gwałtowniej, dopóki bezsilny, na wpół martwy, nie runął na ziemię. Wówczas kładziono go do łóżka na kilka godzin; poczem po silnych potach — podbudzanych użyciem wina — następowało zwykle wyzdrowienie. Nie każda jednak melodya miała siłę pobudzania chorych do tańca; zdarzało się, że biedny grajek często kilka tuzinów przegrał i prześpiewał melodyi, zanim natrafił na taką, która bardziej odpowiadała charakterowi lub indywidualnemu usposobieniu chorego, bądź też rodzajowi objawów samej choroby.

Bo i te różne bywały: u niektórych n. p. chorych, widok morza zwiększał szaleństwo tarantyzmu, u innych znów niektóre kolory silniejszy paroksyzm wywoływały. Ztąd też i różne były rodzaje tarantelli. Jeden zwał się panno rosa (chustka czerwona), drugi panno verde) i t. d., których używano stosownie do rodzaju objawów choroby.

Słowa starych pieśni tarantelli nie doszły — niestety — do naszych czasów, równie jak i melodye ówczesne z wyjątkiem ułamków dawnej pieśni: Allu mari mi portati, oraz melodyi z XVII w., przechowanej w dziele Athanasius'a Kircher'a: „Magnes sive pe arte magnetica“ (Rzym 1654 r.), znacznie różniącej się w takcie i rytmie od dzisiejszej tarantelli.

Aż do 1690 r. nikt nie wątpił, że na tarantyzm jedynym lekarstwem taniec i muzyka. Dopiero w tym roku znaleźli się lekarze, którzy usiłowali dowieść, że tarantula nie ma wcale jadu. Odtąd medycy zaciętą z sobą prowadzili polemikę w tej kwestyi. Ostatecznie jednak nikt nikogo nie zwalczył; jak bowiem w XVII, równie i w wieku obecnym, jedni (n. p. Dr. Renzi w 1834 r.) uważają tarantulę za owad rzeczywiście jadowity, a tarantellę za skuteczne antidotum przeciw tarantyzmowi, drudzy zaś za najniewinniejszego w świecie pająka, za najpoczciwszego z podziemnych obywateli gorącej Apulii.

Aleksander Poliński.

KRONIKA LITERACKA.

— Jan Swiątek. Lud nadrabski (od Gdowa po Bochnię) Kraków 1873 nakładem Akademii Umiejętności str. 725.

Nazwą ludu nadrabskiego, ochrzcił autor tego imponującego rozmiarami obrazu etnograficznego, mieszkańców około 20 wsi, leżących nad brzegiem Raby, w średnim jej biegu. Jestto rzeczywiście poniekąd wzór jak należy kreślić podobne obrazy etnograficzne. Można powiedzieć, iż autor niczego już nie zostawił swojemu następcy, któryby chciał pisać o ludzie nadrabskim. Rozpoczął od rolnictwa, zajęć gospodarskich i przemysłu. Później opisał zabudowania, sprzęty i naczynia, poczem przeszedł do ubiorów, pościeli, pożywienia i napojów, wreszcie do ogólnej charakterystyki opisywanego ludu. Następują po sobie z kolei: uroczystości i zwyczaje, obrzędy, pieśni, zagadki i łamigłówki, wreszcie przysłowia i przymówki. Kończy tom obszerny słownik gwary nadrabskiej. Wszystkie działy ułożone są systematycznie, a jak szczegółowo są ułożone dość przytoczyć np., że na lecznictwo składają się dwa duże działy: medycyna i weterynarya, z których pierwszy ma trzy podziały, a jeden z tych ostatnich zawiera 84 tytułów. Samych przysłów zebrał autor koło tysiąca, a słownik zawiera blisko trzy tysiące wyrazów. Z charakterystyki ludu nadrabskiego dowiadujemy się z radością o wielkich jego zaletach etycznych, ale zarazem ze smutkiem o niedowierzaniu, jakie do dziś dnia wśród niego panuje względem obywatelstwa i wogóle inteligencyi. Pan dla tego ludu jest jeszcze do tej chwili wrogiem, pragnącym przywrócić pańszczyznę i utrzymującym tendencyjnie lud w niedostatku. Jedną z przyczyn tego objawu jest zapewne zaznaczony przez autora brak zupełny publicznych szkółek ludowych. Ci, od których usunięcie tego braku zależy, nie powinni zapomnieć, jaką rolę w roku 1844 odegrał lud nadrabski z okolicy Gdowa, a to, bodaj czy nie jedynie z powodu swej ciemnoty.

K. B.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Dowiadujemy się, że wybór prezesa poznańskiego Tow. Przyj. Nauk odbędzie się dopiero w końcu b. r. Obowiązki prezesa sprawuje obecnie wiceprezes p. prof. radzca Wicherkiewicz.

— Kwiatek poznańskiego stylu. W odcinku powieściowym jednego z czasopism poznańskich znajdujemy następującą potworność stylu i sensu: „Przy ciemnych brwiach okalających oczy, pod nieco wypukłem czołem bez zmarszczki i orlim trochę zadartym nosku mogłaby nawet w pałacach nazwać się piękną, gdyby nie płeć jej szorstko zaciemniona słońcem, pod ktorego promieniami, a w braku takowego przy wielkim ogniu kuchennym nie spędzała wszystkich prawie dni swego życia.“ O praso polsko zmiłuj się nad językiem polskim.

— Do ożywienia Wystawy lwowskiej w upłynionych dwóch tygodniach przyczyniła się wycieczka dzieci polskich z Czerniowiec. Gromadka składała się ze 155 chłopczyków i 85 dziewczątek, którym towarzyszyli dyrektorowie: Lamiński i Flasch, oraz nauczyciele: Hopp, Sadowski. Żukowski i Kostrakiewicz, tudzież kilka nauczycielek i dwie zakonnice z Zakładu SS. Maryi. Nadto ze strony polskich stowarzyszeń na Bukowinie brali udział w wycieczce p. Kołakowski, zasłużony redaktor czerniowieckiej „Gazety Pojskiej“, pan Sołtyński i p. Wellerowa. Przy wejściu na wystawę sierotka Jadwinia Dąbrowska powitała czcigodnego dyrektora naszej ekspozycyi, p. Zdzisława Marchwickiego, wierszykiem, zaczynającym się w sposób następujący:

Ciepłym blaskiem słonko płonie
I rozbrzmiewa pieśń radosna,
Wiosna na polskim zagonie,
Odrodzenia wstaje wiosna.
Ptaków wita ją śpiewanie,
I łan wita zbóż szelestem,
A lud stoi na tym łanie
I narodom woła: Jestem!

Dyrektor wdzięcznym sercem przyjął wiersz i bukiet ze świeżych kwiatów, ofiarowany mu przez dzieci polskie, witając całe grono wyrazami pełnemi uczucia. płynącemi z duszy. Wycieczkowicze zwiedzali wystawę i miasto całe, a po dwudniowym pobycie we Lwowie wrócili do Czerniowiec ze skarbami miłych wspomnień w główkach.

— Nr. 13 dwutygodnika „Świat“ zawiera piękną ilustracyą tytułową, przedstawiającą „piekielną jazdę“ w kopalniach Wieliczki. Autorem obrazu jest Piotr Stachiewicz.

— Projekt nowej panoramy. W kasynie narodowem we Lwowie na cześć bawiącego tam Jul. Fałata odbyła się uczta, Wycieczka malarza Fałata do Lwowa dala początek nowemu projektowi, który może zostanie urzeczywistniony w niedalekiej przyszłości. Powstała mianowicie myśl nowej panoramy. Jeszcze przed laty J. Brandt dał projekt panoramy, dokonanej polskiemi wyłącznie siłami, która miała przedstawiać „Przejście przez Berezynę“. Współpracownikami znakomitego batalisty mieli być Fałat i Wolski: projekt ten nie przyszedł do skutku. Obecnie pod wrażeniem wielkiego powodzenia Racławic, Fałat podniósł na nowo dawną myśl monachijskiego mistrza i w zasadzie po dłuższych konferencyach zgodził się na wykonanie wraz z Wojciechem Kossakiem tego olbrzymiego dzieła „Przejście przez Berezynę!“ Pp. Fałat i Kossak dobraliby sobie w danej chwili współpracowników. Nowa panorama powstanie zapewne w Berlinie, a następnie obwożoną będzie po wszystkich wielkich miastach.

— Na zebraniu niemieckiego Towarzystwa scenicznego, odbytem w Stuttgarcie. przedstawił intendent teatru książęcego w Weimarze, Bronsart von Schellendorf, projekt, zmierzający do okrojenia dochodów autorów scenicznych przez ustanowienie taryfy tantjemowej; taryfa ta ogranicza dochody autorów do pięciu procent dochodów brutto z przedstawień. Projekt ten, oddany do rozważenia komisyi, w kołach literackich wywołał wielkie rozgoryczenie, to też powstała myśl ustanowienia syndykatu, w celu ochrony zagrożonych interesów autorskich i prawdopodobnie doczeka się rychłego urzeczywistnienia.

— „Mavro-Medo“. książe Kroacyi, dramat w trzech aktach pióra znanego powieściopisarza Sewera Maciejowskiego wystawiony został 2 Czerwca w teatrze stanisławowskim. Utwór osnuty na tle histerycznym ma za osnowę znany epizod historyczny walki Kroatów z Serbami za rządów cara serbskiego Lazara w r. 1345, a jest właściwie allegorją dziejów polskich z ostatniej walki o niepodległość. Dramat Sewera odznacza się żywą i błyskotliwą akcyą, polotem, podniosłą patryotyczną myślą i ślicznym językiem. Grany był z wielkim nakładem pracy i staranności pod względem wystawy i dał chlubne świadectwo usiłowań teatru stanisławowskiego, rozwijającego się coraz pomyślniej pod dyrekcyą p. Wład. Antoniewskiego.

— Nowy teatr letni w Lipsku rozpoczął szereg przedstawień z dziedziny najnowszej literatury dramatycznej. Dotychczas odegrano „Volksfeind“ Ibsena i „Verlorenes Paradies“ Fuldy.

Zmarli:

January Januszkiewicz. brat historyka Eustachego, autor opisu stepów kirgiskich.

Astie, profesor teologii i dogmatyki w Lozanie, autor wielu prac, lat 72.

Józef Dwernicki, b. nauczyciel „Teresianum“ w Wiedniu, lat 85.

Tekla z Sieroszewskich hr. Kwilecka, zaszczytnie znana filantropka i patryotka. lat 87, zmarła w Poznaniu.

Ricardo Castelvecchio, (właściwe nazwisko hr. Ryszard Pulle) znany komedyopisarz włoski, zmarł w Lozanie, lat 81.

BIBLIOGRAFJA.

— X. dr. Józef Caputa. Mowa w setną trzecią rocznicę Konstytucyi 3 maja, wypowiedziana w kościele X. X. Pijarów w Krakowie. Kraków 1895. Cena 0,50 mrk.

— X. Jan Piotrowski. Dziennik wyprawy Stefana Batorego pod Psków. Wydał A. Czuczyński. Kraków 18 4. Cena 4,80 mrk.

— Piotr Chmielowski i Edward Grabowski. Obraz literatury powszechnej w streszczeniach i przykładach. Zeszyt I. Warszawa 1894. Cena 1,25 mrk.

— Dr. Wład. Leopold Jaworski. Prawo nadzastawu austryackiego. Kraków w r. 1894. Cena 3,20 mrk.

— A. W. Lasota. Kościuszko pod Racławicami. Kraków 1894. Cena 2,00 mrk.

— Józef Jankowski. Żyje! Jednoaktówka dramatyczna wierszem, Warszawa 1894, Cena 0,75 m.

— Antoni Godziemba Wysocki. Dom zdrowia. Szkice. Kraków 1895. Cena 2,40 mrk.

— St. Tarnowski. O kolędach. Kraków 1894 Cena 1,00 mrk.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Abonentce „Tragedya ludzkości“. Madacha na język polski nie jest przełożoną.

— Konwalji. Redakcya nasza nie posiada wiadomości grafologicznych. Pismo Pani jednak prześlemy wyjątkowo jednemu z grafologów lwowskich, a odpowiedź jego zakomunikujemy natychmiast.

— Dr. G. w Krakowie. Owszem. Ocenę dzieła Willego zamieścimy chętnie.

— N. w R. Odpowiemy niebawem listownie.

— Włodzimierzowi. Ani krty prawdy. To robota naszych „najserdeczniejszych.“

— M. M. Niestety i ten utwór utonął w koszu. Goni Pan za oryginalnemi zwrotami, a ztąd rodzą się takie dziwolągi jak „cmentarz smutno-szeroki“ Co to jest?!

— Horla. Prawo pruskie nie zna pojęcia „Erbschleicherei“, ale zna je prawo moralne. Bądź co bądź zgłoś się pan do jakiego akwokata, a może uda się dla oskarżenia pańskiego znaleść w kodeksie karnym odpowiednie pojęcia.

Sprostowanie.

W Nr. 14. w artykule „E pur si muove“ czytać należy „wyliczaniu“ zamiast „wybieraniu“, (str. 7. ł. 1, w. 2.) „„wiara“ zamiast „wina“, (str. 7. ł. 2. w. 18 od dołu), „powtarza się„ zamiast „powtarza“ (str. 7. ł. 2: w. 16 od dołu), „mielenie“ zamiast „mielenia“ (str. 7. ł. 3. w. 2.) „bezdusznej“ zamiast „bezdennej“ (str. 7. ł, 3. w. 22 od dołu), „otrzymawszy promocyę do kwarty najsubtelniejsze tajemnice“ i t d. zamiast „otrzymawszy promocyę kwestye najsubtelniejsze“ (str. 7: ł. 3. w. 6 i 7. od dołu) „młodzieńca“ zamiast „młodzieńcu“ (str. 8. ł. 1. w. 17).

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.